10 stron

Cena 2/6

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

W NUMERZE:

ROK VII. Nr 14/15 (302/3)

LONDYN, 5-12 KWIETNIA 1953 R.

AURORA

Niebiosa zorza rumieni,
Przestwory pieśnią brzmią błogą,
Świat szczęsnych wznosi głos pieni,
Drży piekło, zdjęte wskróś trwogą.

Niezmierzon w mocy król chwały,
Podziemnych krusząc bram wrota,
Praojców senat wspaniały
Do światel wiedzie żywota.

Pomimo grobu pieczęci
I straży — w ciele wskrzeszonym
Triumfy ludów król święci,
Śmierć naszą gładzi swym zgonem.



Fra Angelico

COELUM...

Żal z duszy złóżcie sierocy,
Dość łez, dość ciężkiej boleści:
Zwycięzca zgonu wstał w mocy!
Promienny Anioł to wieści.

Byś, Jezu, szczęściem dla serca
Paschalnym — w każdej był chwili,
Zgładź winę, co je uśmierca
Tym, co się życiu zrodzili.

Bądź Bogu Ojcu cześć stała,
Wraz z Synem, który wstał z grobu
I Dawcy pociech wraz chwała
Niech brzmi, Duchowi ich obu.

Amen.

(Hymn przypisywany św. Ambrożemu)

KS. WŁADYSŁAW STANISZEWSKI

ŚWIĘTO TRIUMFU BOGA

„Zmartwychwstanie jest bolesnym trudem i wprzód trzeba wojnę prawdy wygrać w sobie".

(C. Norwid)

„Wesoły nam dzień dziś nastał — tego dnia Chrystus zmartwychwstał. Alleluja."

Jakże inaczej było jeszcze przedwczoraj, w Wielki Piątek, kiedy to zapadły się wszystkie nadzieje. Załamały się serca i zdawało się, że wszystko stracone. Nad Mistrzem przeprowadzono straszliwy proces stosując tortury, jakie złość ludzka wymyśleć była zdolna. Złość i nienawiść ludzka zgasiły światłość i miłość Bożą. Pozornie i nie na długo zdawało się, że człowiek zabił Boga; że Go unicestwił.

Ziściły się proroctwa Starego Testamentu. Wychylił Syn Boży do dna kielich goryczy i klęski, jaką Mu zgotował człowiek, kiedy to do rozpiętego pomiędzy niebem a ziemią i konającego miotał z dołu bluźniercze słowa naigrawania: *„Jeżeli jesteś Synem Bożym, zstąp z krzyża. Dopomóż sam sobie. Innym pomagał a sobie dopomóc nie może."*

Na szalę walki o zbawienie duszy człowieka ofiarował Bóg-Człowiek wszystko — ażeby wygrać wszystko. Po klęsce największej, jaka tylko być może, a wyrażonej słowami ludzkimi: *„Boże, czemuś mnie opuścił"* — nastąpił kupiony za cenę ofiary największej równy jej triumf — wyrażony słowami Boskimi: *„Jam jest, który jest."* — *„Nie lękajcie się! Jam jest Pierwszy i ostatni i Żywy. Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków i mam klucze śmierci i piekła"* (Obj. 1, 17-18).

Po trzech dniach, jak przepowiedział, rozstąpiły się w tajemniczy i cudowny sposób mury grobowca, rozbiegła się w popłochu straż, a na odwalonym kamieniu grobowym stanął On. Alfa i Omega ludzkości, Zbawca Świata, Zwycięzca szatana i śmierci, Świętość Przedwieczna, ażeby odtąd świecić kroczącej w cieniu grzechu, cierpienia i śmierci ludzkości, po wszystkie czasy aż do skończenia świata. *„Kto za Mną idzie, nie chodzi w ciemności"*.

* * *

W świetle tajemnicy zmartwychwstania rozumiemy tajemnicę krzyża — ten jeden z paradoksów chrześcijaństwa, że w krzyżu cierpienie — w krzyżu zbawienie.

Co to jest cierpienie? Co jest jego powodem i jakie jest jego następstwo? Powodem cierpienia — to rozłączenie należących do siebie części i przeszkoda połączenia. Następstwem zaś jest ból. Cięciem szabli rozłączają się tkanki, które należą do siebie, co sprawia cierpienie i wywołuje ból. Rozłąka kochających się osób i niemożność połączenia się powodują cierpienie i ból. Utrata ojczyzny i przeszkody w zjednoczeniu się z nią — to cierpienie i ból.

Ale dlaczego Bóg dopuszcza cierpienie i ból? Dlaczego zsyła na nas krzyż?

Każde ludzkie cierpienie odnosi się i nawraca do pratypowej rozłąki pierwszego człowieka z Bogiem, t.zn. do upadku człowieka w raju, do reakcji człowieka na podszepty szatana, który wie, co to raj utracony: *„Jedzcie... a staniecie się jako Bóg"*. Sprzeniewierzył się człowiek Bogu, z którym miał być intymnie zjednoczony. Zbuntował się i odciął się od Niego. Zerwał węzeł wiążący co przyrodzone z nadprzyrodzonym. Spowodował jednym cięciem rozłąkę, separację z Bogiem.

Nieuniknioną konsekwencją była utrata raju, praca w pocie czoła, cierpienie i śmierć.

Czy to tak surowo Bóg zareagował na tę dobrowolną rozłąkę człowieka z Nim? Nie. To człowiek sam wybrał tę nieuniknioną konsekwencję. Bóg, który jest Bogiem Miłości i Prawdy zareagował inaczej. Reakcją Jego to Syn Boży, Jezus Chrystus: Agnus Dei, Baranek Boży, który gładzi grzechy świata.

Pan Jezus wziął na siebie cały ból tej rozłąki. Unią pomiędzy Bogiem a człowiekiem, i naodwrót, jest i będzie do końca świata Krzyż, Chrystus Ukrzyżowany i Zmartwychwstały, który przywrócił człowiekowi życie nadprzyrodzone i dopuszcza go do intymnego życia nadprzyrodzonego z Bogiem, do pełni życia w szczęściu absolutnym i chwale wiecznej.

* * *

Oto odpowiedź na pytanie Piłata zadane Jezusowi podczas procesu: *„Co to jest Prawda?"* Odpowiedź, którą Chrystus zamknął w tych słowach: *„Jam się po to narodził i na to przyszedłem na świat, abym wydał świadectwo Prawdzie."*

Dla pogan i nowoczesnych bezbożników prawdą jest: *„Będziecie jako Bóg sam"* — *„Nie chcemy, aby On królował"*. Dla nich prawdą jest, że nie ma Boga, jak również że nie ma duszy nieśmiertelnej. Dla nich prawdą jest materia, siła militarna i policyjna. To dywizje pancerne, to państwo absolutne, to totalizm statolatrii. Ich bogiem to filozofia ułatwionego życia i użycia: „wszak żyjem tylko raz".

Dla nas natomiast prawdą jest, że istnieje świat widzialny i niewidzialny, że jest życie przyrodzone i nadprzyrodzone, że życie nasze ziemskie jest tylko przedsionkiem, ale nigdy nie ostatnim słowem Boga i chrześcijanina, że chrześcijaństwo jest zmartwychpowstaniem. Jak pisał Chesterton po swym powrocie z Polski: „W chrześcijaństwie jest nie kończące się ożywianie rzeczy ludzkich a nawet pogańskich. Nie wierzymy, ażeby cokolwiek było stracone; nie przypuszczamy, aby były jakieś stałości beznadziejne... Kiedy byłem w Polsce i słyszałem znów narodowy hymn Polaków, to powiedziałem im, że słowa ich przypominały mi słowa, które były stare, kiedy wszystkie nasze pieśni były nowe i które będą nowe, kiedy wszystkie nasze pieśni będą stare, mianowicie: *„Jam jest Zmartwychwstanie i Żywot."*

Dla nas prawdą jest *„Baranek Boży, który gładzi grzechy świata,"* ten milczący nieraz Bóg, cierpliwy ale sprawiedliwy, *„Pierwszy i Ostatni"*, który w każdej wojnie Jemu wypowiedzianej ma ostatnie słowo, który wbrew czy nawet na przekór obliczeniom ludzkim swoje wielkie przeprowadza plany. *„Ojciec mój działa aż do tej chwili i ja też działam"* — powiedział Pan Jezus (Jan 5, 17).

Dla nas Prawdą jest Chrystus Ukrzyżowany i Zmartwychwstały, prawdą, w którą wierzymy, odkąd 1000 lat temu optowaliśmy za Nim i za Jego Kościołem; prawdą, która jest tajemnicą naszego narodowego istnienia.

* * *

Stąd też święto Zmartwychwstania Pańskiego ma dla nas Polaków szczególny charakter, charakter święta jak gdyby narodowego. Z ks. Piotrem Skargą modlimy się: „Krzyż Twój, Jezusie Boże, jest chorągiew nasza: izali ją kto nam poniżyć i pod nią nas zwyciężyć może"? Aczkolwiek z Cyprianem Norwidem rozumiemy, że „zmartwychwstać jest bolesnym trudem i wprzód wojnę prawdy trzeba wygrać w sobie."

Jak mówi Krasiński:

„Próbę grobu my odbyli.
Prawem naszym
zmartwychwstanie.
Dziś lub jutro dasz je
Panie."

X. Władysław Staniszewski

KS. STANISŁAW BEŁCH

DOKTRYNA POLITYCZNA ŚW. TOMASZA Z AKWINU



Crivelli:
ŚW. TOMASZ Z AKWINU

Św. Tomasz z Akwinu urodził się w 1225 r., zmarł w 1274. Działał głównie jako profesor uniwersytetu, a większość jego pism była dyktowana potrzebą studentów: potrzebą odpowiedzi na palące ich pytania.

W okresie, w którym działał stary kierunek filozoficzny i teologiczny, augustiański, zetknął się on z modnym nowym kierunkiem racjonalistycznym, pochodzącym z filozofii arabskiej, mylnie interpretującej Arystotelesa.

Tomasz dostrzegł w obu kierunkach to, co słuszne a co niesłuszne i zauważył, że to co słuszne w obu nie wyklucza się, lecz stanowi harmonię i przyczynia się do odkrycia prawdy. Dostrzegając zaś nowe elementy filozoficzne, jakich dostarczyła mu obserwacja życia, stworzył nowy kierunek myślowy oparty na zdrowym rozsądku, daleki od jednostronności, nie zamknięty w sobie i nie wykluczający rozwoju jak Koran, lecz domagający się stałego uzupełniania doświadczeniami, jakie przynosi życie. Nie dał decydującej odpowiedzi na rzeczy należące do dziedziny roztropności, a których rozstrzygnięcie zależy od zmiennych okoliczności. Wskazał jednak drogę i metodę, po jakiej należy iść i jaką należy posługiwać się w rozwiązywaniu nowych sytuacji.

Jego filozofia nie zwyciężyła. Augustianizm wypaczył się idąc w kierunku pierwszeństwa woli i skończył się protestantyzmem; zaś awerroizm arabski, ogarniający umysły myślicieli chrześcijańskich, przekształcił się w t. zw. awerroizm łaciński, dominujący w XIV wieku w Padwie. Wyszedł z niego Macchiavelli, ojciec polityki nowoczesnej. Spory między szkołami doprowadziły do zwątpienia w możność poznania prawdy, co znowu spowodowało zbytnie zajęcie się samą metodą poznania. W rezultacie dyskutowano logikę i scholastyka studencka doszła do dzielenia włosa na czworo, kompromitując cały kierunek. To ośmieszyło filozofię w ogóle i skierowało umysły ku czemuś, co zdawało się bardziej rzeczywiste: ku studiowaniu języków i ku wiedzy pozytywnej.

Franciszkanin Roger Bacon, ojciec współczesnej nam szkoły angielskiej, szanującej tylko wiedzę eksperymentalną, bada naturę zewnętrzną, a w swym dziele „De secretis operibus artis et naturae" ma wizję przyszłych statków parowych, kolei, balonów, dźwigni, skafandru, teleskopu i mikroskopu; straszliwe skutki zastosowania materii wybuchowych są opisane przezeń wcale dokładnie. Nominalizm Occhama uczy lekceważenia rzeczywistości pozazmysłowej jako niepoznawalnej, co doprowadziło do syntezy Hobbes'a, który takie pojęcia jak Bóg, dusza, religia nazywa „the figures of speech". Hobbes zaś jest, według oświadczenia Marksa, ojcem komunizmu.

Wracając do awerroizmu łacińskiego, tenże wykluczył istnienie indywidualnej nieśmiertelnej duszy, czym zabił osobowość człowieka, doprowadził do fikcji „Anima mundi", z czego wylęgła się inna fikcja „duszy narodu", domagająca się wszechwładnego państwa, Lewiatana, nie liczącego się z nieistniejącą dlań godnością osobistą i prawami osobowymi indywidualnego człowieka.

Tomasz, dzięki swemu anielskiemu wprost umysłowi, podszedł do rzeczywistości pełnej i takiej jaką ona jest, nie dając się zmylić jej doraźnym wykrzywieniom. Rzeczywistość zaś jedna jest zmienna, druga niezmienna, ta druga jednak pierwszej nie zaprzecza, lecz na niej się opiera. To co zmienne nie odwraca jego uwagi od tego co niezmienne. Tomasz nie uważa tego, co jest tylko przejawem rzeczywistości za samą rzeczywistość. Jego zasada możności potencjonalnej i aktu umożliwiła mu zorientowanie się w pozornym chaosie rzeczywistości aktualnej i pozwoliła mu widzieć w zmianach dynamiczną prężność bytów ku doskonaleniu się a zarazem zrozumieć, na czym polega błąd odchylenia się tego, co jest aktualnie od tego, co być winno i być musi i będzie choćby poprzez ból i pomyłki. Rozumie też sens konfliktów kosmicznych i określa zakres każdej rzeczy i siły. Widzi we wszechświecie harmonię i hierarchię w jej stałości i zmienności.

A oto jak człowiek dochodzi do poznania rzeczywistości stałej, metafizycznej: człowiek widzi świat otaczający go, doświadcza go, myśli, wnioskuje; dostrzega w istotach i ich działaniu coś stałego, a w ich zmianach i działaniach jakieś stałe rzeczywiste prawo. To prowadzi go do poznania Stwórcy i Prawodawcy. Rzeczy przezeń stworzone kierują się nadanymi im przez Niego prawami. Tak więc z rzeczywistości obserwowanej zmysłami dochodzi drogą indukcji do rzeczywistości abstrakcyjnej, umysłowej, metafizycznej; bo przecież i Archimedes odkrył prawo grawitacji obserwując siebie w czasie kąpieli. Bóg objawił siebie, swą myśl i prawo w rzeczywistości stworzonej. Odczytywali je ludzie myślący, filozofowie; stworzyli systemy dla wyjaśnienia całości bytu. W ich systemach wiele jest prawdy, ale też wiele pomyłek. Prawdę przyjmuje Tomasz niezależnie od tego, u kogo ją znajduje: u filozofów arabskich, żydowskich czy greckich; pomyłki odrzuca, choćby nawet były bronione przez świętych. Potrafi też należycie interpretować myśl danego autora. Tak jest z jego właściwą interpretacją Arystotelesa i Augustyna: obu broni przed interpretacją naiwną lub wprost fałszywą.

Poza objawieniem w naturze, Bóg objawił się w sposób nadnaturalny, dotyczący tylko człowieka. Oba te objawienia są w pełnej harmonii: rozum i wiara nie wykluczają się. Drugie dopełnia pierwsze i na nim się opiera, pierwsze domaga się drugiego. Oba zaś są od Boga. Jeśli chodzi o człowieka, nie jest on ani czystym ciałem, ani czystym duchem uwięzionym w złym ciele — jakby uważali platonicy, lecz compositum. Żyje on na ziemi, ale nie wyłącznie dla ziemi; żyje w czasie, ale dla wieczności. Nie cały umiera, a nawet jego ciało zmartwychwstanie. Wkłada św. Tomasz wiele trudu, by to wszystko gruntownie uzasadnić i uczynić widocznym.

Z obserwacji zaś człowieka dochodzi, drogą indukcji, do etyki ludzkiej, którą opiera na psychologii i metafizyce ludzkiej, a nie na objawieniu. Z człowieka wnosi, kim on jest, jaki jest jego cel i jak ma sprawować się, by cel osiągnąć. Bezpośrednio jego etyka zbudowana jest na obserwacji ludzkich dążeń, appetitus, których sens staje się widocznym w świetle metafizycznego pojęcia dobra i przyczyny celowej i sprawczej. To znaczy, że dążenia są czymś dobrym, że są stworzone dla jakiegoś celu, że one aktualnie sprawiają osiągnięcie celu. Innymi słowy, siły dążnościowe, apetyty, w człowieku czy w ogóle w stworzeniach, są źródłem aktów, przez które każde stworzenie osiąga swój rozwój i udoskonalenie: „Inclinatio rei ad suum bonum". Każde istnienie, każda rzecz istniejąca, ma właściwe sobie dążenie ku pełnej aktualizacji swego istnienia. Rzeczy fizyczne mają apetyty proste i naturalne; byty mogące poznawać mają apetyty spontaniczne (elicitus). Człowiek mający rozum zdolny pojąć dobro jako dobro, czyli uniwersalny aspekt dobra, posiada dążność wolną, czyli wolną wolę, która z konieczności chce tylko jednego dobra, t.j. absolutnego, a tym jest szczęście, tym zaś jest posiadanie i umiłowanie Boga. Natomiast w doborze środków do celu wola jest wolna. Będąc jednak stworzonym dla Boga, człowiek nie powinien użyć swej wolności przeciw temu, ku czemu jest stworzony. Jeśli tak zrobi, postępuje przeciw swojej naturze, a to stanowi istotę grzechu. Aby człowiek aktualnie dążył i używał wolności woli poprawnie, musi, jako warunek konieczny, usprawniać się, wychowywać się, czyli wyrabiać w sobie cnoty.

W etyce tomaszowej istotne miejsce zajmuje pojęcie obowiązku, powinności, obligatio. Na czym to polega? Człowiek stworzony jest dla szczęścia; osiąga je uczynkami. Otóż pewne czyny są konieczne dla jego osiągnięcia. Są one koniecznym warunkiem wolności, bo wolność nie może, bo ze swej natury nie jest zabójczynią człowieka. Czyny te są koniecznym warunkiem wolności, bo nasza wolność, nasza wolna wola podlega Bogu jako Stwórcy i jest odeń zależna przez swą naturę. Tu leży źródło obowiązku.

Ostatecznym **raison d'être** powinności, najwyższą regułą-normą moralności, jest nie w o l a Boska, jak to przyjmowała szkoła augustiańska, bo każde chcenie uzależnione jest od poznania, a poznanie jest raison d'être chcenia i warunkiem jego specyfikacji jako czynu ludzkiego. Fundamentem jest tu zatem akt r o z u m u p r a k t y c z n e g o, wskazującego, że ten środek, takie działania, są konieczne do osiągnięcia celu. To wskazanie, deklaracja rozumu praktycznego stanowi to, co nazywamy prawem.

Tu dochodzimy do tomaszowej doktryny prawa, która w całej jego polityce — jak zobaczymy — zajmuje miejsce istotne. Prawem najwyższym jest prawo wieczne, ogłoszone przez rozum Boski. Jest niczym innym, jak porządkiem istot rzeczy w koncepcji Bożej („l'ordre des essences concues par Dieu"). Toż prawo wieczne wyciśnięte w istotach stworzonych jest prawem natury. Dzięki temu prawu rzeczy są tym, czym są i działają stale zgodnie ze swą naturą. Prawo natury można brać albo w znaczeniu szerszym jako prawo fizyczne etc. albo w znaczeniu ścisłym jako odnoszące się do człowieka jako człowieka i to zwie się prawem naturalnym moralnym. Uświadamiamy sobie to prawo dzięki wrodzonemu rozsądkowi (syndesis). Jest ono zwane prawem moralnym, bo nie nakłada konieczności, jak co do innych stworzeń, lecz powinność. Zatem rozum Boga jest najwyższą normą moralności, zaś rozum ludzki, którego aktem jest sumienie, jest normą najbliższą, bezpośrednią. Które konkretne i aktualne czyny są dobre a które złe, które obowiązkowe a które nadobowiązkowe, dowiadujemy się studiując poszczególne cnoty i wady. Formacja sumienia dokonująca się przez budowę i rozwój cnót, szczególnie cnoty roztropności, rządzi zastosowaniem prawa do poszczególnych czynów w życiu codziennym.

Aby człowiek mógł zdać sobie sprawę z rzeczywistości, musi mieć w porządku rozum, zaś porządek ten powstaje w rozumie poprzez cnoty intelektualne, z mądrością na czele. By zaś praktycznie ustosunkował się do rzeczywistości w sposób należyty, musi mieć uporządkowane apetyty, czego znowu dokonują cnoty moralne, na czele z roztropnością. Przejdźmy teraz do socjologii człowieka. Według Tomasza socjologia, podobnie jak etyka, oparta jest na naturze człowieka właściwie pojętej. Życie społeczne jest konieczne, bo taka jest ludzka natura, to jest społeczna. Prawo naturalne moralne formułuje nie tylko jego obowiązki indywidualne, ale zawiera również normy życia zespołowego, jest ono prawem narodowym i międzynarodowym. Z prawa natury pochodzi też władza społeczna. A ponieważ bez niej koordynowanie myśli, dążeń i czynów i skierowywanie ich do celu pospólnego byłoby niemożliwe, dlatego stwierdzić należy, że pochodzi ona bezpośrednio od Boga, twórcy społeczeństw i warunków koniecznych do jego istnienia. Funkcja władzy społecznej polega na precyzowaniu zastosowań ogólnych zasad prawa naturalnego, a to drogą ustanowienia kodeksu prawa pozytywnego, zgodnie z zasadami sprawiedliwości rozdzielczej, według tego, co się komu należy.

Zakończymy tę wstępną część streszczeniem. Rząd rozumu, tkwiącego jako w swym źródle w prawie wiecznym, które jest „quasi ratio Dei", rozciąga się za pośrednictwem sumienia i władzy na wszystkie strony ludzkiego życia i kieruje tymże życiem ku osiągnięciu szczęścia, polegającego na pełnym rozwoju życia intelektualnego. Wobec tak ważnej funkcji władzy pochodzi ona od Boga. A ponieważ jest dla szczęścia ogółu, władza ta jest złożona przez Boga oryginalnie w ludzie, czyli w społeczności, dążącej świadomie do zorganizowania się w państwo dla osiągania celów pospólnych. Lud, będąc źródłem władzy, przekazuje ją kierownictwu politycznemu na sposób, jaki w danych okolicznościach jest najlepszy (wybory, dziedzictwo, etc.). Forma rządu, jaką Tomasz uważa za najlepszą, jest monarchia konstytucyjna: jeden naczelnik, kontrolowany przez reprezentację zorganizowanego społeczeństwa: wszakże św. Tomasz uważa, że reprezentacja ta w pierwszym rzędzie ma pomagać i doradzać, a dopiero w razie potrzeby powściągać.

NIEKTÓRE ELEMENTY TEORII POLITYCZNEJ ŚW. TOMASZA W SZCZEGÓLNOŚCI

W jakim znaczeniu św. Tomasz, zakonnik, zajmował się polityką, był politykiem? Jak podchodzi on do polityki? Aby na to odpowiedzieć, zastanówmy się nad tym, czym jest polityka i w jakim znaczeniu używa się tego słowa. W znaczeniu szerszym i etymologicznym polityką jest to wszystko, co odnosi się do zbiorowego zorganizowanego życia ludzkiego (polis). W znaczeniu specjalnym odnosi się do tego wszystkiego, co dotyczy państwa i rządu, w odróżnieniu od tego, co dotyczy życia ekonomicznego, socjalnego, sprawiedliwości, administracji lub też sztuki, nauki, szkół, obrony narodowej. Polityką nazywamy też naukę o polityce lub praktyczną działalność polityczną, partyjną. Lub też w znaczeniu rozszerzonym polityką nazywamy działanie według planu uprzednio opracowanego, n.p. polityka w dziedzinie środków transportowych. W staropolszczyźnie politycznym nazywało się człowieka postępującego w stosunku do innych ludzi na sposób uspołeczniony, towarzyski. „Polityzm", nowe pojęcie utworzone przez Eucken'a, oznacza niebezpieczny objaw w społeczeństwie współczesnym, polegający na stałej tendencji poddania całego życia ludzkiego, duchowego i materialnego interwencji państwa.

Popularnie politykę rozumie się jako grę partii lub osób w dochodzeniu do władzy lub utrzymanie się przy władzy, lub jako sztukę rządzenia. Może to wytworzyć pogląd, że poza bezpośrednimi, praktycznymi, technicznymi szczegółami nie ma zasad stałych i powszechnych, które rządzą techniką. Dziś prawie powszechnie uważa się, że polityka jest techniką i obserwuje się i omawia zjawiska polityczne zaczynając od końca, od zjawisk. Otóż św. Tomasz zaczyna od początku, a „na początku było Słowo", wartości najwyższe, decydujące o tym, co jest dobre a co złe. Stąd jego polityka należy do kategorii postępowania ludzkiego w zbiorowości i dlatego wiąże się organicznie z etyką. Drogą indukcji wytwarza zasady, jakimi winno się życie ludzkie kierować, a poszczególne zjawiska ocenia w świetle tychże zasad drogą dedukcji, zawsze jednak kontrolując słuszność swoich wniosków prawdą rzeczywistości faktycznej.

Uważa się czasem, że jego podejście do polityki jest apriorystyczne, wyłącznie dedukcyjne. Inni uważają, że jego polityka jest teokracją albo też teokratyczną monarchią. Oba te twierdzenia są zwykłym nonsensem. To nie święty Tomasz byłby tym, który by dał się zaślepić teorii na niekorzyść faktów, o których, gdyby sprzeciwiały się jego teorii, powiedziałby: tym gorzej dla faktów.

Przypatrzmy się dwom skrajnym kierunkom w poglądzie na państwo, a zobaczymy, jak rozsądnie podchodzi do tegoż zagadnienia św. Tomasz. Szkoła augustiańska, zapatrzona w wizję Państwa Bożego, Civitas Dei, na ziemi, widziała w państwie świeckim, ziemskim, tworzonym przez człowieka zepsutego przez grzech, królestwo zła. Tylko królestwo założone przez Odkupiciela, złożone z ludzi zreformowanych łaską, może być dobre. Albo też, że państwo ziemskie i władza świecka i prawo ludzkie są następstwem zła ludzkiej natury. Władza państwowa ma pilnować, by ludzie wzajemnie się nie pozjadali jak zwierzęta. Dla chrześcijan, ludzi już doskonałych, państwo ziemskie jest zbędne, wystarczy im religia. Z tej postawy wyszła teokratyczna postawa uniwersalnego imperium, rządzonego przez zastępcę Chrystusa na ziemi, którym jest albo sam papież, albo papież i cesarz, albo — według wizji Dantego — sam cesarz. Ale i tu państwo jest raczej dopustem Bożym, następstwem grzechu i środkiem zaradczym przeciw grzechowi. Albo przeciwstawna teoria państwa w koncepcji Averroesa, według której państwo jest najwyższym osiągnięciem ludzkim, zdolnym przekształcić ziemię w raj bez potrzeby odkupiciela i chrześcijańskiej religii. W tej koncepcji państwo jest celem samo dla siebie i czynnikiem decydującym o etyce i prawdzie. Myśl ta owładnęła Europą, zwłaszcza w okresie renesansu i uderzyła w samą istotę chrześcijaństwa. Ucieczkę znajdywano więc w powrocie do rygorystycznego augustianizmu. Uciekano od rozumu i chroniono się w ślepej wierze. Tak też zrobił Luter — zostawiając politykę, by nią rządził miecz.

Dla Tomasza natomiast, który obserwował wcielenie racjonalistycznej koncepcji awerroańskiej przez Fryderyka II i musiał słyszeć o kanonizacji św. Stanisława B. M., jako tego, który poniósł śmierć w obronie pierwszeństwa pierwiastka duchowego, zdając sobie sprawę, do jakich ekstrawagancji prowadzi państwo wyzwolone z etyki, to drugie rozwiązanie musiało wydać się absurdem. Ale i rozwiązanie augustiańskie mu nie odpowiadało: państwo świeckie jest też tworem Bożym. Ktoś musi zająć się sprawami czysto ziemskimi, boć Kościół jest zapatrzony w wieczność. Stąd też przeciwstawił się z jednaką mocą obu skrajnym koncepcjom, a mógł tego dokonać dzięki swemu zmysłowi realizmu i prawdziwie ludzkiemu, humanistycznemu zmysłowi proporcji. Nie ucieczka zatem od polityki jako złej w sobie do życia kontemplatywnego; i nie ucieczka od Boga i religii do ziemskiego jedynie życia polityki, lecz wnoszenie prawdy w ziemską politykę i budowanie w państwach królestwa Bożego. Dobry chrześcijanin to zarazem dobry polityk, obywatel. Natura ludzka jest za bogata, by ją dało się zamknąć w jakimś jednostronnym ciasnym schemacie, w sztucznie spreparowanej teorii, nie liczącej się z faktami natury, w której przecież odbija się rozum Boży i wola Boża.

TOMISTYCZNA KONCEPCJA PAŃSTWA

Z obserwacji człowieka św. Tomasz wnosi, że jest on stworzony, by żyć w społeczeństwie, zdolnym zaspokoić jego potrzeby, a w końcu w społeczeństwie zaspakajającym wszystkie potrzeby. Tych społeczeństw jest wiele, zależnie od jego potrzeb. A ponieważ potrzeby są jedne wyższe, drugie niższe, podobnie i społeczności dla ich zaspokojeń potrzebne. Z tego zas wnosi, że człowiek jest tak przez Stwórcę ukształtowanym, że musi żyć społecznie. Są różni ludzie z różnymi zdolnościami; czego brakuje jednemu, tego mu dostarcza drugi. Stąd komunikacja między ludźmi, a to znaczy życie społeczne. Konieczność życia społecznego domaga się czynnika kierowniczego, rządu, który jest niczym innym, jak środkiem koniecznym do osiągnięcia celu całości natury ludzkiej. Tak jest w każdej społeczności i tak jest w najwyższej z nich, w państwie, będącym społecznością polityczną. Człowiek jest istotą z natury nie tylko społeczną, ale i polityczną, choć dlatego jest polityczną, bo jest społeczną.

Mając różnorodność potrzeb, człowiek wrasta w te społeczności, które są zdolne je zaspokoić. U progu stoi rodzina, dalej idzie osiedle: wieś lub miasto, a w końcu państwo. Będąc stworzonym dla rozwoju i doskonalenia się, co dać mu w pełni może tylko państwo, człowiek musi żyć w państwie. Idea natury społecznej i politycznej wiedzie do stwierdzenia pełnej i harmonijnej integracji życia indywidualnego w życie społeczności. „Jest niemożliwe" — mówi on — „by jakiś człowiek był dobrym, jeśli się nie dostosuje do dobra pospólnego" (Summa, I-II, q. 92, a. 1, ad 3). To dobro pospólne, bonum commune, dla którego państwo istnieje, jest większe i bardziej Boskie, niż dobro indywidualne. Państwo jako całość jest pierwsze, niż indywiduum, które jest jego częścią, a część jest dla całości, nie odwrotnie.

Tu jednakże zachodzi pytanie: czy ta teoria nie prowadzi do całkowitej absorbcji indywiduum w organizm państwowy? Tak zrobił awerroizm polityczny Marsylego z Padwy i Dantego, tak również Lewiatan Hobbes'a i Hegla „państwo jako bóg". Czyż i Tomasz ku temu zmierzał? Zdawałoby się, że tak, jeśli zauważymy, co on sam powiedział: „W rzeczach państwowych wszyscy ludzie należący do danej społeczności państwowej są jakby jednym ciałem, a cała społeczność jako jeden człowiek" (I - II, q. 81, a. 1). Organiczna koncepcja państwa, wysunięta przez Arystotelesa, zawiodła wielu ku awerroizmowi, ale nie Tomasza, a to dzięki jego koncepcji tego, co on zwie „bonum commune", dla którego państwo istnieje. Składa się na nie 7 składników równocześnie: jedność, porządek, trwałość (stabilitas), pokój, wolność i postęp. Żadna zaś z tych części nie może pochłonąć drugiej. Jedność nie może więc pochłonąć wolności i odwrotnie. Co do tego św. Tomasz uczy, że jedność społeczności politycznej jest jednością porządku, to znaczy, że polega na zaprowadzeniu porządku w częściach, nie jest jednością absolutną i znoszącą wolność części, bo i jedność małżeńska nie znosi osobistej wolności małżonków. Wobec tego, kontynuuje Tomasz (Comment. in X. libros Ethicorum Ad Nicomachum, lib. I, lectio I), części stanowiące całość mają sferę działalności odrębną od sfery działania całości. Tak n. p. żołnierz może mieć do spełnienia pewne czynności, których nie może wykonać cała armia; a znowu całość ma swoją sferę, niewykonalną przez indywiduum, jak n. p. wojnę toczy cała armia, a okręt posuwa się naprzód do celu dzięki zbiorowemu wysiłkowi całej załogi pod kierownictwem kapitana. Z tego zas wynika, że przez wejście do grupy indywidualność nie znika, że grupa nie zjada części, że grupa nie jest nowym bytem substancjalnie odrębnym od osób ją tworzących. Wobec tego rola indywiduum nie ulega pomniejszeniu. Przeciwnie, wejście do grupy umożliwia jednostce życie na wyższym stopniu, podnosi jego znaczenie. To człowiek ją tworzy i tworzy ją dla siebie. Cele grupy są jego celami, których indywidualnym wysiłkiem osiągnąć nie mógłby. A ponieważ cele są normami postępowania, wobec tego normy postępowania państwa są te same, co i normy postępowania osobistego. Etyka jest ta sama. Tak zatem wygląda tomistyczna koncepcja państwa organicznie zbudowanego: państwo jest na szczycie budowli społeczeństwa, a budowla społeczeństwa składa się z jednostek, z rodzin, z miast i wsi, z organizacji zawodowych, naukowych, produkcji i konsumpcji, oświecenia, obrony, komunikacji etc. Co zaś daje państwo, to utrzymanie jedności w wielości, porządku, stabilizacji spokoju, bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, z czego wynika wolność oraz, gdy zajdzie potrzeba, dokonuje zmian na lepsze, co oznacza postęp.

Zasada pochodzenia państwa z prawa naturalnego wyjaśnia wszystko, co dotyczy życia państwowego. Po pierwsze znosi teorię absolutnej równości i wolności jednostki. Człowiek bowiem nie jest stworzony i jego konstytucja naturalna nie jest taka, by żył w odosobnieniu czy to jako drapieżny zwierz w rozumieniu Hobbes'a, czy naturalnego gentlemana w rozumieniu Locke'a, czy jako suwerenna jednostka w znaczeniu Rousseau'a. Po drugie, państwo nie jest tworem człowieka, lecz Twórcy natury. Znaczy to, że człowiek swym rozumem widzi, że musi się zorganizować, najpierw społecznie a w ostateczności państwowo, jeśli chce osiągnąć cel, dla którego jest stworzony. Zaś z życiem państwowym jest koniecznie związana władza. Otóż ta jest również tworem Bożym, złożonym razem z prawem naturalnym w ludzie. Nie lud ją tworzy, lud ją otrzymał. Lud tworzy suwerena, rząd. Stąd władza jest od Boga, ale rząd, czyli wykonawca władzy jest z ludu. Rząd, sprawując władzę suwerenną, sprawuje istotnie władzę suwerenną, a więc nie znosi zarządów innych członów społecznych, przeciwnie zachowuje i podtrzymuje władzę ojca rodziny, rektora uniwersytetu, wójta etc. Do rządu należy tylko element suwerenny władzy, czyli władza najwyższa. Dalej, konieczność założenia państwa, na mocy prawa naturalnego, nie powinna być tłumaczona na sposób cyceroński, to znaczy, że państwo jest koniecznym następstwem ślepych sił naturalnych, pchających grupę ludzką ku stworzeniu państwa. Albowiem tomistyczne pojęcie prawa naturalnego jest racjonalne. Człowiek widzi swą powinność i on to jest tym, który funduje konkretne państwo. W konsekwencji państwo nie jest bytem absolutnym i niezmiennym. To znaczy, że część jakiegoś państwa może oderwać się, jeśli ma ku temu racjonalne powody i stworzyć własne państwo. Może też znaczyć, że dwa państwa mogą dojść do wniosku, iż połączenie się wyjdzie na korzyść partnerów, czyli dla dobra pospólnego obu ludów. Ponadto znaczy to, że jeśli państwo jest z prawa natury, nikt nie może zaprzeczyć poganom ważności i prawności ich państwa i nikt, z jakiegokolwiek tytułu, nie może po nie sięgnąć zbrojnie. Nasz wielki Włodkowic bronił przed trybunałem Europy praw narodów pogańskich, właśnie powołując się ustawicznie na św. Tomasza z Akwinu. Z tego zaś wynika, że skoro państwo jest z prawa natury, a prawo to jest wspólne wszystkim ludziom, wszystkie państwa, pogańskie czy chrześcijańskie, mogą ze sobą współdziałać i ze sobą się porozumieć, właśnie na zasadach praw natury, wyrażonych w Dekalogu. I tej to zasady również bronił nasz Włodkowic, a dokładnie rozwinął ją później Vitoria i Suarez, a w czyn próbuje wprowadzić Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Z tego zaś dalej wynika organiczna struktura międzynarodowa. Jeśli jednostka ma żyć społecznie, a nie ma być dzięki swej sile grozą dla innych jednostek, to i państwowy zespół jednostek nie może stać się dzięki swej sile antyspołecznym w znaczeniu międzynarodowym, czyli być grozą dla innych narodów. Suwerenność państwowa jest ograniczona naturalnym prawem wspólnoty ludzkiej i wspólnotą praw i obowiązków. Każdy człon przyczynia się dla pospólnego dobra międzynarodowego we właściwy sobie sposób i to jest raison d'etre jego istnienia. Stąd pochodzi obowiązek wymiany dóbr bez zbyt wysokiej ceny, n. p. ceny utraty niepodległości. To znaczy, że z jednej strony nie wolno państwu silniejszemu i cywilizowanemu napaść i zabić drugiego państwa dlatego, że ono jest słabe, niecywilizowane a posiada surowce naszemu państwu potrzebne. Albo dać mu wiarę i cywilizację kosztem utraty jego bytu państwowego. Z drugiej zas strony dane państwo nie może, mając wiele bogactw naturalnych, zamknąć ich tylko na swój użytek lub udzielić ich komuś po cenach zbyt wysokich. Tak jest, bo według prawa naturalnego dobra ziemi są dla wszystkich ludzi, a wobec tego, jeśli głodny naród nie może dokołatać się pomocy, może sięgnąć po potrzebne dobra siłą. Stąd uzasadnienie planu Schumana. Suwerenność nie jest najwyższym walorem ziemskim, lecz takim jest dobro, jakie suwerenność ma dać. Jeśli zatem dana mniejszość narodowa chce niepodległości i suwerenności dla samej suwerenności a ze szkodą dobra, o jakie w suwerenności chodzi, dążenia takie są nierozumne a wobec tego nieprawne i nieprawe.

Trzeba nam teraz przejść do konstytucyjnych poglądów św. Tomasza z Akwinu. Zasada prawa naturalnego, że wszyscy ludzie są równi i wolni, była podstawową w nauce i praktyce myśli katolickiej wieków średnich. Żaden człowiek nie rodzi się z tytułem prawnym do władania nad drugimi. Może mieć wyższość nad innymi n. p. w muzyce, ale nie ma tytułu do zmuszania drugich, by jego muzyki słuchali. Może robić doskonałe buty, ale nie może nikogo zmuszać, by je kupował lub nawet brał za darmo. Żaden człowiek nie ma takiego prawa, za wyjątkiem Chrystusa, Boga-Człowieka, który przez swoją naturę jest Królem. Ale i On zwracał się do wolnej woli ludzkiej i podbijał serca perswazją, bo Bóg szanuje swe stworzenia i nie gwałci darów, które im dał, a więc i wolności. Skąd więc pochodzi, że dany człowiek rządzi drugimi, czyli jest ponad nimi i krępuje ich wolność? Skąd to pochodzi, że ludzie poddają swe wole pod władzę równych sobie ludzi i ograniczają swą wolność? Co do pierwszego: św. Tomasz stwierdza, że z jednej strony lud ich do tego upoważnił; działają imieniem ludu, dla dobra ludu. Ich władza zatem pochodzi od Boga, za pośrednictwem ludu. Z chwilą gdy na nich przeszła z ludu, oni sprawują władzę od Boga pochodzącą i mają prawo domagać się posłuchu. Z drugiej zaś strony, lud powinien kierować się dobrem ogółu i wybierać ludzi kompetentnych do sprawowania władzy. Cała nauka św. Tomasza o honorze jest wykładem przedmiotu, kogo należy wybierać, a nauka o cnotach, jakie kwalifikacje ma posiadać kandydat. Główną z nich jest roztropność polityczna. Co do drugiego: ludzie poddają swe wole rządowi nie jako suwereni, bo nimi nie są. Oni mają obowiązek to zrobić na mocy prawa naturalnego, które ich do tego skłania. Usprawiedliwienie istnienia państwa i podstawa obowiązku politycznego leży w naturze człowieka, jest prawem natury, a nie na podstawie kontraktu społecznego.

TOMASZOWE PODEJŚCIE DO PRAKTYCZNEJ POLITYKI, JEGO MYŚLI O KONSTYTUCJI

Tomasz z jednej strony zrywa ze średniowieczną koncepcją Imperium Mundi, z drugiej rozszerza arystotelesowskie „civitas-polis", państwo jako jedno miasto. Jego ideą jest suwerenne państwo w znaczeniu nowoczesnym: wielość państw takich, jak Italia, Francja etc. Państwo, to społeczność mogąca stanowić prawo i wprowadzać je w życie drogą przymusu oraz zaspokoić wszystkie doczesne potrzeby obywateli. Jak to państwo ma się rządzić, czyli jaką ma mieć konstytucję? Innymi słowy: jaka ma być struktura polityczna państwa? Na sam początek odpowiedzmy na pytanie, kto ją tworzy. Odpowiedź na to jest prosta. Całe wieki średnie kierowały się zasadą, że władza polityczna leży w ludzie, w społeczeństwie, to znaczy, że w ostateczności lud jest źródłem prawa i władzy. Tę ideę przyjmuje i wyjaśnia również św. Tomasz (L-2, q. 90, a. 3; 2-2, q. 57, a. 2). Ale nie należy tego tłumaczyć, że lud jest pierwszym źródłem prawa i władzy. Tym jest Bóg. Wszelka władza od Boga pochodzi, ale konkretni przełożeni są od ludu, czyli z prawa ludzkiego: dominium et praelatio introducta sunt ex iure humano. Boskie źródło władzy (jej „causa formalis") domaga się jako swej „causa materialis" współudziału ze strony ludzi do utworzenia partykularnego rządu. Jest z tym podobnie, jak z małżeństwem: jest ono od Boga, ale faktycznie dokonują go ludzie, ci, co zawierają małżeństwo. Dla św. Tomasza jest jasnym, że ludzie, równi fundamental-

(Dokończenie na str. 8)

MARIA WINOWSKA

„DIALOGI KARMELITANEK"

„Osłupieją w Anglii — śmiała się moja raczej światowa znajoma na peronie St. Lazare — wyobraź sobie ich miny, gdy powiem, że byłam w Paryżu na dwu sztukach: w jednej grali sami jezuici, w drugiej same karmelitanki! I że obie od roku nie schodzą z programu, w tej pogańskiej Francji!"

Podobno reżyserzy obu sztuk z pewnym lękiem gotowali się do konfrontacji z tą wielką a kapryśną niewiadomą, jaką jest francuska publiczność. Rzeczywistość przeszła ich najśmielsze oczekiwania.

„Na ziemi jako i w niebie", dramat Hochwaldera, produkuje swoich jezuitów czterechsetny raz. Zaznaczmy, że w sztuce nie ma nawet cienia kobiety.

„Dialogi karmelitanek" Bernanosa w Teatrze Hebertot, zdobywane szturmem przez okrągły rok, dziś są już dostępne bez czekania w ogonkach. Co wieczór sala nabita.

Francja zaskakuje, nie tylko obcych, lecz i swoich. Pod skorupą kartezjańską musują niewiadome nurty, jak młode wino. Coś umiera. Coś się rodzi. Widać trupa. Dziecko nienarodzone znać daje o sobie prężną siłą bujnych soków, które krzepną w żywy kształt pod osłoną nocy. Intelektualistom czystej wody trudno się połapać w tym bigosie i raz po raz popełniają niebotyczne gafy redukując problem do nawierzchni, z której trzeci wymiar sobie kpi. Jednym słowem poza Francją wiadomą, przeracjonalizowaną, żonglującą ideami bez pokrycia i eksperymentami naskórka, poza „norami" St. Germain i ekshibicjonizmem (na eksport) kabaretów nocnych istnieje „to nowe", co żyje i rośnie i tak jest zaprzątnięte tym procesem biologicznym, że jeszcze nie gada, li tylko bełkocze. Trzeba wprawnego ucha, niemal że daru różdżkarza, żeby wytropić pod twardą lawą zastygłych pojęć żywy, podziemny nurt. Pewne fakty bezsporne walą obuchem: co krótkowzroczny obserwator likwiduje dowcipną rubryczką, v. g. „Francja jest krajem paradoksów", nabiera w oczach pokorniejszych wagi symptomatu. Jak owi jezuici rozpanoszeni na paryskiej scenie, do kompanii Karmelu stanowiącego „atrakcję sezonu", ażeby, powiedziałby święty Hieronim, żadnej płci w tej świętej kampanii nie zabrakło. Jest to bowiem autentyczna ofensywa, a, że służą jej za przyczółek mostowy deski teatru, nie nasza w tym wina, ale raczej dowód Panabożego humoru, który coraz to pruje nasze sądy uproszczone kaskadami żywego śmiechu.

* * *

Zostawmy na razie jezuitów wprawniejszym rękom i weźmy na warsztat karmelitanki.

Gdy Albert Béguin uparł się, że wystawi „niesceniczną" sztukę Bernanosa, ze wszech stron posypały się protesty, ostrzeżenia, zapowiedzi fiaska. „Beznadziejna impreza", orzekł pewien as teatralny, którego nazwiska nie wymienię.

Biorąc na rozum nie zdrowy, ale logiczny, rzeczywiście ryzyko było nie lada jakie.

„Dialogi karmelitanek", to ostatnia książka Bernanosa.

Każde zdanie wyrąbywał kilofem woli. Każde słowo ważył jasnowidztwem zbliżającej się śmierci.

Na pozór parafraza znanej noweli Gertrudy Lefort „Die letzte am Schaffot". Wątek ten sam, lecz ujęcie tak oryginalne, jak sam Bernanos.

Była to właściwie ostatnia jego rozprawa z widmem, które ścigało go przez całe życie a któremu na imię „angoisse".

Myśląc o tym artykule głowiłam się przez parę dni, jak przełożyć na język polski ten skrót zachodniej psychozy? Udręka? Lęk? Uciśnienie? Etymologicznie ten ostatni termin przywiera najszczelniej, lecz nie oddaje sedna rzeczy. Język jest zwierciadłem duszy: może nie mamy wyrazu dlatego tylko, że nie znamy jego mrocznej treści? Tak jak nigdy język nasz nie zdobył się na ujęcie samoistne przeciwieństwa miłości, na wzór innych języków europejskich (odium, hate, haine, Hass i wszystkie pochodne), określając je po prostu negatywnie i powściągliwie jako **„niemiłość"**, gdyż **„nawidzieć"**, to kochać a **nienawiść** to **brak** miłości?

Przez całe życie Bernanos pasował się z tym tajemniczym, biologicznym lękiem, który wybucha żywiołowo w godzinie konania. Rycerskim obyczajem nie schodził z drogi napastnika, lecz dotrzymał mu placu („faire face" to jego ulubiony zwrot). Rychło przejrzał czatujące widmo. Pod biologią kryje się innej miary wróg! Szatan mądrze eksploatuje fizyczną udrękę, poprzez nerwy stargane wciska się w przedsionek duszy, napełnia przerażeniem ową „psyché", którą święty Paweł tak dobitnie odróżnia od sfery czysto duchowej, zawarowanej, nietykalnej, lecz tak łatwo zasnuwanej dymnymi zasłonami pokus. Strach, powiada Bernanos, to broń szatana. Godził nią przez tysiąclecia w dusze zwiotczałe ogromem cierpienia, aż do chwili...

„Aż do chwili — powiada Bernanos — gdy wyrwał jej oścień Udręczony, Uciśniony, Konający Bóg. Gethsemani i Krzyż to jak gdyby rehabilitacja Udręki."

„Strach to również dziecko Boże, odkupione w Wielki Piątek — czytamy w „La Joie". Nie piękne ono, wykpione, wyklęte, omijane jak zaraza. A jednak trwa przy wezgłowiu każdego co kona i wstawia się **za nim"**.

Słowa te pisał Bernanos dwadzieścia lat przed śmiercią. Trawiony śmiertelną chorobą po raz ostatni zmierzył się z napastnikiem — i tak powstały „Dialogi karmelitanek".

* * *

Bohaterką jest dziewczyna szlachetnie urodzona, która przyszła na świat z haniebną skazą. Matka urodziła ją w strachu, podczas zaburzeń ulicznych rokujących zbliżającą się rewolucję i przekazała jej w schedzie strach.

Blanche de la Force boi się własnego cienia. Nie jest to lęk naskórka, lecz jakby struchlenie najwnętrzniejsze, sięgające „miazgi bytu" i daremnie maskowane dumą rodową i wstydem. Boleją nad tym stanem rzeczy ojciec i brat, który zwał ją w dzieciństwie „zajączkiem", lecz wobec nagłych panik dorosłej panny rumienić się musi.

Rok 1789. Francję przebiegają iskry rokujące bliską pożogę. Biedna Blanche sprawdza swoje żałosne tchórzostwo na każdym kroku. Wstępuje w każdą noc „jak na Górę Oliwną", chore jej nerwy rwą się w strzępy przy lada niebezpieczeństwie. Zwolna dojrzewa w niej decyzja. Prosi ojca, by jej pozwolił wstąpić do Karmelu. Jest-li to tylko ucieczka przed życiem zbyt ciężkim na jej wątłe barki? Blanche nie tylko przemyślała całą sprawę. Przemodliła ją również. W żałosnej skazie, która tak ją upokarza, przeczuwa sygnał woli Bożej:

„Czyżby Bóg chciał mnie tylko upodlić stwarzając taką, jaka jestem? Może nędza moja świadczy, czego Pan żąda od swej służebnicy? Jak przestwór w kropli wody, tak wola Boża odbija się w najdrobniejszym zdarzeniu: nic nie jest mało ważne".

Tragedia zakotwiczona w noc wiary: jeśli Blanche przeczuwa jak gdyby nad sobą sens Bożych zmiłowań, na codzień osacza ją absurd najżałośniejszej nędzy, wstyd i strach. Całą mocą zbolałej dumy pragnie się zrehabilitować. W Karmelu spełni wolę Bożą, lecz i uratuje honor.

Pierwsza rozmowa z przeoryszą klasztoru stawia zagadnienie na zgoła innej płaszczyźnie.

„Nasza reguła, to nie schron — mówi matka de Croissy. — Karmel to nie przedsiębiorstwo pokutne ani hodowla cnót, lecz po prostu dom modlitwy. Tylko modlitwa usprawiedliwia nasz byt. Kto nie wierzy w modlitwę, musi nas uznać za oszustki i pasożyty. My tu modlimy się tak, jak lampa świeci: po **to jest"**.

Myli się więc Blanche szukając w powołaniu siły. „Bóg, dziecko moje, nie siłę Twoją próbować będzie, ale Twoją słabość". Nikt nie żyje sobie. Nikt sobie nie umiera. Takie jest prawo Boże, które zakonnica musi spełnić co do joty.

„Nie dziwnaż to rzecz, że tylu ludzi wierzy w Boga i nie chce z Nim rozmawiać? Świadczą Mu tylko jeden zaszczyt: l ę k u. Modlitwa jest czymś zbyt dostojnym, aby dyktował ją biologiczny mus, jak głód i pragnienie. Modlitwa jest sprawą wolności. I dlatego właśnie, że tylu ludzi się nie modli, Bóg chce i zezwala, żeby jedni modlili się za drugich, w ich zastępstwie i na ich konto. Tak więc każda modlitwa, choćby biednego pastucha w polu, jest modlitwą rodzaju ludzkiego. Lecz to, co pastuszek czyni w porywie serca, my, karmelitanki winniśmy czynić dniem i nocą. Nie pomnę siebie, lecz innych..."

Wysoki ideał, żałosna zdrada! „Stan miernej zakonnicy wydaje mi się o wiele groźniejszy, niż stan złoczyńcy. Gdyż złoczyńca może się nawrócić i nawrócenie będzie mu wtórnymi narodzinami. Ale mierna zakonnica już zaznała tej łaski, narodziła się od nowa w dzień ślubów, lecz zmarnowała nowe życie i bez szczególnego cudu pozostanie na zawsze poronionym płodem..."

Bernanos podpatrzył trafnie mężnego ducha założycielki Karmelu, która jak ognia lęka się miernoty i zimną wodą oblewa tanie egzaltacje. Jest wszakże w słowach przeoryszy coś więcej, jego własne credo w zastępczą moc modlitwy.

Choć Blanche nie ma zalet dzielnej karmelitanki, choć „czmycha do klasztoru jak biedak ścigany przez złodziejów", przeorysza zezwala na próbę. Rzecz przesądza imię zakonne, o które prosi dziewczyna: „Soeur Blanche de l'Agonie du Christ". Tajemniczym zrządzeniem Opatrzności takie właśnie jest imię przeoryszy. Ją również, aczkolwiek inaczej, Chrystus złączył z tajemnicą swego Ogrójca. Matka de Croissy widzi w tym znak woli Bożej. Przyjmując dziewczynę, podejmuje jej lęk.

I Bóg przyjmuje transakcję. W następnych scenach widzimy przeoryszę na łożu śmierci. Innej to miary konanie niż to, jakie pozwalało rokować jej mężne życie! Na samym skraju rozpaczy, w zupełnym opuszczeniu, z niewysłowioną udręką. „Trwoga przywiera mi do skóry, jak maska woskowa". Próżno sili się przezwyciężyć: od resztek woli mocniejszy strach. Więc przeprasza córki, że tak źle umiera...

Ostatnie jej myśli biegną ku „najbardziej zagrożonej", ku Blanche.

„By ją ustrzec, byłabym dała moje biedne życie. Dziś dać mogę tylko moją **biedną śmierć"**.

Zostawia jej testament, zbroi ją na próbę: „O dziecko moje, bądź w rękach Bożych giętka i potulna! Święci nie parują pokus tarczą pychy! A już zwłaszcza nie gardź sobą. Trudno gardzić sobą, nie raniąc Boga w sobie. Pogarda wobec siebie wiedzie w rozpacz. Twój honor w ręku Boga. On za Ciebie poręczył, bezpiecznaś w Nim".

Matka asystentka, Marie de l'Incarnation, nie tai wstydu i żalu, że „nędzna" śmierć przeoryszy stać się może dla klasztoru złym przykładem. Burzy się w niej rycerska krew przeciw wszelkim objawom tchórzostwa. I może dlatego właśnie konająca Mère de Croissy jej właśnie oddaje pod opiekę siostrę Blanche: „Odpowiesz mi za nią przed Bogiem".

Jak zwykle Bóg maluczkim objawia to, co przed wielkimi zataił. Urocza, prościutka, jasna jak zorza Soeur Constance tłumaczy sobie dziecinnie a trafnie śmierć przełożonej. Zbierając kwiaty na jej grób z siostrą Blanche, towarzyszką nowicjatu, tak mówi: „Któż byłby powiedział, że nasza Matka tak źle umierać będzie! Powiedziałby ktoś, że w ostatniej chwili zaszła pomyłka, jak w szatni, gdy nam dadzą cudzy płaszcz. Bóg dał jej jakąś cudzą śmierć, nie na jej miarę, śmierć za małą dla niej. Nie mogła się w niej pomieścić ani nawet wciągnąć rękawów, dlatego było jej tak ciężko i obco..."

A gdy Blanche nie bardzo rozumie: „To znaczy, siostrzyczko, że ta inna, gdy nadejdzie godzina śmierci, dziwić się będzie, że wchodzi w nią tak łatwo, że czuje się w niej tak wygodnie. Może nawet chlubić się nią będzie? „Patrzcie, jak pięknie na mnie leży, jak fałdy układają się elegancko..."

Wbrew przewidywaniom nie Mère Marie de l'Incarnation zostaje przełożoną, ale pochodząca z gminu Madame Lidoine, córka rzeźnika. Rozpętana rewolucja każe poczynać sobie roztropnie, ważniejszy w takich chwilach chłopski rozum niż talenty wysoko urodzonych.

Bernanos zdołał rozwiązać nielada problem. Mimo kontrastów i uprzedzeń, mimo różnic w kulturze i wykształceniu, obie córki Karmelu w sprawach istotnych są jednym sercem i jedną duszą, gdyż złączyła je miłość „nad śmierć mocniejsza". I obie są nad wyraz sympatyczne. Mère Lidoine wciela najrzetelniejsze zalety prostego ludu. Mère Marie de l'Incarnation rycerską schedę szeregu pokoleń okupujących klejnot swój krwią. Każda patrzy na zdarzenia pod własnym kątem widzenia. Matce Marii marzy się męczeńska palma. Matka Lidoine... lituje się katów.

„Strzeżcie się, córki moje, wszystkiego co was odciąga od modlitwy. Strzeżcie się nawet męczeństwa. Modlitwa, to obowiązek. Męczeństwo, to nagroda... Nie masz bitwy bez poległych. Karmelitanka powinna pamiętać, że drogo kosztuje palma męczeńska, jeśli na szwank naraża wiekuiste zbawienie oprawców! Powołanie nasze nie w tym, by stawiać czoła krzywdzie, lecz by ją wynagradzać, a żeśmy biedne i nie mamy nic krom życia, same musimy stać się okupem. Przebóg, modlicie się za grzeszników, to jest o ich nawrócenie i jednocześnie chciałybyście, żeby popełnili najstraszniejszą zbrodnię mordując osoby Bogu poświęcone! Na mój kwef! Karmelitanka marząca o męczeństwie jest tak kiepską karmelitanką jak żołnierz, który szedłby na śmierć nie wykonawszy wpierw rozkazu".

Tymczasem rewolucja gwałci świętą klauzurę Karmelu. Rewizja za rewizją. „Patrioci" przychodzą wyzwolić „niewinne ofiary zabobonu". Zdjęta potworną paniką siostra Blanche wygląda rzeczywiście na „zasekwestrowaną mniszkę". W takich chwilach nieustraszona postawa Matki Marii ratuje sytuację. Blanche lgnie do niej, jak powój do dębu. Resztkami woli „ratuje honor". Bratu, który chce ją zabrać ze sobą do Anglii — odmawia. Ale wypadki są ponad jej siły. Chciałaby pod ziemię się schować ze wstydu, że tak „gorszy towarzyszki", rozpalone do białości świętym żarem, marzące cichcem o zbliżającej się palmie.

Mimo to Blanche błaga roztropną przeoryszę, żeby jej nie odsyłała w bezpieczniejsze miejsce. „Matko, to prawda, już nie mam złudzeń, nie potrafię się przełamać! Gdziekolwiek będę, powlokę za sobą tę hańbę, jak katorżnik swą kulę. Tylko w tym domu mam jeszcze nadzieję, że ofiaruję ją Panu jak trędowaty swoje rany ohydne. Boć przecież, Matko, może Bóg stworzył mnie tchórzem, jak inne dobrymi albo głupimi..."

Trzyma się więc kurczowo powołania, trwa więc rozpaczliwie na straconym posterunku, jakaś siła tajemnicza broni jej.

Wypadki zdają się potwierdzać nadzieję i przeczucia matki Marie de l'Incarnation. Oto nakaz konfiskaty. Oto napad terrorystów, plądrujących klasztor i kaplicę. Matkę przeoryszę przełożeni wzywają do Paryża. Gdy nieobecność jej się przedłuża, Mère Marie, sprawująca władzę w jej zastępstwie, postanawia spełnić najdroższe marzenie i zaprasza siostry, by złożyły „ślub męczeństwa". Kapelan, szczuty przez sankiulotów, właśnie przyszedł w przebraniu, żeby się pożegnać. On to odbierze bohaterski ślub, pod warunkiem, że w tajnym głosowaniu wszystkie siostry się zgodzą. Jednomyślność stawia za warunek.

Siostra Constance boleje całym mężnym serduszkiem nad niedolą wystraszonej towarzyszki. Siostra Constance chce oszczędzić jej wstydu, więc nie j e d e n, lecz d w a głosy b ę d ą p r z e c i w. Jakież jest jej zdumienie, gdy kapelan zgłasza tylko j e d e n odrzucający ślub heroiczny, właśnie jej głos, siostry Constance. A więc Blanche zdobyła się na „tak"! A więc nie ma powodu, żeby ona, Constance, zrezygnowała! „W imię Boga miłosiernego", błaga więc, żeby przyjęto jej zgodę. Kapelan przejrzał jej manewr. Dzieli entuzjazm matki Marii. Dwie po dwie siostry składają ślub, który zabrania im odtąd czynić cokolwiek, by ujść męczeńskiej śmierci. Blanche zdobywa się na słowa, lecz matka Maria przesadziła jej siły, stargane do ostatka. W ślepym lęku ucieka z kaplicy, ucieka przed sobą, jak szczuty psiak, byle dalej, byle prędzej.

Niespodziewanie wraca przeorysza. Wpośród córek jednej brak, właśnie biednej Blanche. W niezrównanym dialogu mierzą się obie karmelitanki, Mère Lidoine i Mère Marie.

„Czyżby za tę heroiczną manifestację miała płacić siostra Blanche? Nie wolno być mocnym kosztem słabych..."

Mère Marie de l'Incarnation uznaje winę, prosi o pozwolenie, by szukać zaginionej, ofiarowuje się Bogu na najcięższą pokutę.

Siostra Blanche zstępuje na dno upodlenia. Ojciec jej ginie na szafocie: ze strachu wysługuje się zbirom, poniewierana, zahukana, bita. Matka Maria zastaje ją kucharzącą w domu rodzinnym dla sankiulotów, nieprzytomną ze strachu, z jedną jedyną idée fixe: jak ujść przed śmiercią? Wiąże je dialog przejmujących skrótów: każde słowo jak perłę otula koncha milczenia. Gdzie wina? Gdzie cnota? Czym — heroizm? Czy sądu o cichej intencji czynów widzialnych nie zawarował sobie raz na zawsze zazdrosny Bóg? Na biedną, drżącą Blanche, kto pierwszy ciśnie kamień?

Już nie Marie de l'Incarnation. Ona również przeszła swoją drogę ogrójcową. Choć Blanche wymyka się jej z rąk w śmiertelnej panice, rycerska mniszka wie, „że nic już jej nie wydrze słodkiemu miłosierdziu Pana Jezusa". Jeśli trzeba, oto zastaw...

Toczą się wypadki nieubłaganym tempem. Zwycięski motłoch uznaje Karmel za wrogą redutę, hodującą podżegaczy wojennych, krwiopijców i ciemięzców ludu. Aresztowane, karmelitanki gotują się na śmierć.

I tu właśnie „córka rzeźnika", Mère Lidoine daje swoją pełną miarę. Nie ona skłaniała do heroicznych ślubów: dziś, w obliczu gilotyny, umie dowieść, że nie brak jej odwagi. Jest matką, „przede wszystkim matką": zrobiła, co w jej mocy, by uratować dzieci zagrożone, a także biednych katów od tak straszliwej zbrodni. Dziś, gdy werdykt zapadł, nic jej już nie pozostaje, jak zamienić śmierć w ostatni akt posłuszeństwa:

„Córki moje, całym sercem pragnęłam was ocalić. Tak, chciałam, by ten kielich oddalił się od was, gdyż kocham was jak matka, a któraż matka chętnym sercem poświęca własne dzieci, choćby Bogu Wszechmogącemu? Jeślim zbłądziła, Bóg naprawi. Wyście moim dobrem a jam nie z tych, co dobro swe wyrzucają przez okno. Lecz oto klamka zapadła. Stoimy u kresu. Nic już więcej nie zostało nam do roboty, jak umrzeć. Niech Bóg będzie pochwalony za mękę, którą wspólnie podejmiemy jak ostatnie oficjum naszego zgromadzenia! Teraz, dzieci moje, pora uprzytomnić sobie ślub, któryście złożyły. Do tej chwili, chciałam przed Bogiem odpowiadać zań sama. Odtąd biorę tylko cząstkę, która na mnie przypada, i to nie swoją, lecz w imieniu naszej najmilszej Mère Marie de l'Incarnation, gdyż ją zastępuję, choć taka niegodna. A więc, córki moje, po raz ostatni daję wam uroczystą obediencję i błogosławię wam na śmierć..."

Ostatnia scena rozgrywa się przed szafotem. Karmelitanki jedna po drugiej wstępują po schodach śpiewając mocnym głosem „Salve Regina", potem „Veni, Creator". Chór wielogłosy kurczy się, rzednie w miarę, jak padają głowy. Przedostatnią zwrotkę śpiewa już tylko jeden głos. I oto nagle z głębi motłochu dobywa się śpiew „wysoki, dziecinny, rezolutny". — Blanche de la Force przedziera się ku gilotynie śpiewając ostatnią zwrotkę a na twarzy jej nie znać ani śladu lęku. Głos je milknie nagle, jak inne.

* * *

Wyjątkowy sukces sztuki tłumaczą, niewątpliwie zgrane wysiłki reżyserów i aktorów iście genialnych. Kto zna Karmel, nadziwić się nie może finezji, z jaką Catherine Sellers, Tania Balachowa, Madeleine Lambert i inne podpatrzyły, podchwyciły, oddały jego wyjątkowy styl. Patrząc na sztukę myślałam, że nawet święta Teresa z Awili nie miałaby nic do zarzucenia tym swoistym karmelitankom. Ponoć zasięgały rad i wskazówek u furty Karmelu. Zresztą sam tekst dialogów był „w stylu", jędrnym, prostym, jasnym, trzeźwym, który wyróżnia córki Karmelu wśród wielu innych ckliwszych białogłów hodujących pod kwefem „plagę czułostkowości" i „babskie fanaberie" (święta z Awili tak mówi).

Jest wszakże inny, głębszy powód nadzwyczajnego powodzenia surowej sztuki. „Dusze — powiedział ktoś — ująć można tylko duszą." Dialogi karmelitanek — jak wspomniałam na wstępie — to ostatnia rozprawa Bernanosa ze śmiercią. A więc — ze strachem. Trzeba być głupcem albo pyszałkiem, żeby negować tragizm katastrofy biologicznej, jaką jest śmierć. Że człowiek sprowokował tę katastrofę, nie zmienia to jej grozy. Rzecz znamienna: śmierć jest jedynym faktem naszej przyszłości, o którym w i e m y, że jest nieuchronny a jednocześnie nikt nie w i e r z y we własną śmierć. Wolimy „nie myśleć o tym". Chowamy głowę w piasek. A jednak...

A jednak każdy dzień zbliża nas nieuchronnie do tej chwili uroczystej, w której przyjdzie nam zmierzyć się ze śmiercią. Całym życiem zarabiamy na śmierć.

Śmiertelnie chory Bernanos rozprawia się po raz ostatni z groźnym widmem, by stwierdzić za **Pawłem z Tarsu**, że znalazło pogromcę!

„Męczennicy — mówi siostra Klara — czerpią moc w Chrystusie, ale Chrystus nie miał na kim się oprzeć, gdyż wszelki ratunek i wszelkie zmiłowanie w Nim i tylko w Nim. Nikt nie zstąpił w śmierć taki sam i taki bezbronny jak On..."

Gorzka śmierć krzyżowa wysłużyła nam po wsze czasy „dobrą śmierć". Co więcej: wspólnota w Chrystusie zezwala na tajemnicze „przelewy", zasilające naszym kontem zagrożonych braci. Nikt nie żyje sobie. Nikt sobie nie umiera... Nasze konta splątane rozeznać potrafi tylko niebieska buchalteria. Nad grzech i śmierć potężniejsze Miłosierdzie, które póki życia nie odstępuje nas na krok.

„My obaj" — powiedział Bernanos, umierając. — Nie ja sam, lecz „m y o b a j".

Maria Winowska

SED CONTRA

ŻE PRAWDA JEST WZGLĘDNA

Sekstus sceptyk uważał wiarę w istnienie bezwzględnej wiedzy za chorobę, a lekarzem będąc, postanowił terapii na nią dostarczyć w postaci swoich „Zarysów Pirrońskich" i ksiąg „Przeciw matematykom". Ale sam sceptycyzm jest chorobą mózgową o społecznym podkładzie (produkt rozpadu cywilizacji); wypada więc pomysł Sekstusa Doświadczeńca obrócić ku pożytkowi, takich jak on, chorych filozofów i dostarczyć im intelektualnego specyfiku na to schorzenie. Wypada tym bardziej, że ta choroba toruje drogę do dialektyki, kończącej się w łagrach sowieckich.

Podamy dziś, w silnym skrócie, dawkę takiego lekarstwa na jeden z przejawów choroby, polegający na tym, że pacjent mówi z wielkim przekonaniem: „każda prawda jest względna". Jeśli pragniesz Szanowny Czytelniku i Drogi Pacjencie uwolnić się od tak brzydkiego pryszcza na mózgu, postąp w następujący sposób:

1. *Zabieg pierwszy:* Wyrzuć z twojej mowy wszystkie abstrakty. Pamiętaj, że abstrakt to pułapka na chorego, droga do omamów i do bredzenia na jawie. Kiedy więc ktoś ci mówi, na przykład, „dobro jest piękne" przetłumacz ten górnolotny zwrot na takie mniej więcej konkretne zdanie: „kiedy widzę, że ktoś wykonuje dobry uczynek, przeżywam miłe stany estetyczne". W zastosowaniu do powyższego pryszcza, przekład brzmi: „każde zdanie jest względnie prawdziwe" albo jeszcze jaśniej: „czy jakieś zdanie jest prawdziwe czy fałszywe, to rzecz względna".

2. *Zabieg drugi:* Zadaj sobie teraz pytanie, co znaczy wyrażenie: „to a to zdanie jest prawdziwe"? Aby na nie odpowiedzieć, nie potrzebujesz czytać prof. Tarskiego — pewnie nie dałbyś rady, bo to trudna książka; wystarczy ci takie proste określenie: „zdanie jest prawdziwe, kiedy to, co w nim wypowiadamy rzeczywiście zachodzi, a nie jest prawdziwe, kiedy nie zachodzi". Na przykład: zdanie „piszę teraz na maszynie" jest prawdziwe wtedy i tylko wtedy, jeśli teraz piszę na maszynie, a nie jest prawdziwe, jeśli teraz nie piszę na maszynie. Kiedy to sobie uświadomiłeś, tym samym zrozumiałeś, że prawdziwość zdania zależna jest od jakiegoś stosunku między tym zdaniem a jakimś faktem i niczym więcej — że chodzi, jak mówią logicy, o relację dwuczłonową.

3. *Zabieg trzeci:* Muszę Cię przestrzec, że to jest najtrudniejszy krok, powodujący czasem silne bóle głowy. Radzę więc siąść wygodnie, głowę oprzeć na poduszce i, ewentualnie, wypić małą filiżankę czarnej kawy. W tej postawie skup myśli i zrób energiczny wysiłek ku zrozumieniu naszego powiedzonka: „każde zdanie jest względnie prawdziwe"; aby sobie ułatwić zadanie, myśl najpierw o powiedzeniu „zdanie: „ja teraz piszę na maszynie" jest względnie prawdziwe". Wysiłek powinien trwać conajmniej dziesięć minut i być powtarzany pięciokrotnie z trzyminutowymi przerwami. Gdyby cię głowa zanadto bolała, poproś żonę albo przyjaciela, by ci zmywał skronie wodą kolońską — ale nie ustawaj i rób co możesz, aby zrozumieć. (Ten zabieg jest przeciwskazany u pacjentów w rekonwalescencji i tp.; zasięgnąć w razie wątpliwości porady lekarza).

Jeśli zabieg został przeprowadzony poprawnie i z należytą energią, powinieneś pod koniec mieć wrażenie nieprzebitego muru, ciemności i chaosu. To jest właśnie stan pożądany, kryzys, do którego wywołania zabieg zmierza. Chodzi o wrażenie czegoś zupełnie ciemnego i niezrozumiałego.

Zdarza się u osób słabszych, że nie osiągają one tego stanu od razu. Występują mianowicie niekiedy następujące pomysły: 1) „Deszcz pada" jest „względnie prawdziwym zdaniem" bo jest prawdziwe w Krakowie, ale nie w Sydney, prawdziwe 3 marca, ale nie 4 marca itd. Jest to jeden z t.zw. omamów pseudofilozoficznych; możesz się go pozbyć przywodząc sobie na myśl, że chodzi w tym wypadku o *dwa* różne zdania: „Deszcz pada w Krakowie" i „Deszcz pada w Sydney", albo „Deszcz pada 3. III." i „Deszcz pada 4. III." — oba *bezwzględnie* prawdziwe. 2) Innym objawem chorobowym jest pomysł, że czy deszcz pada, czy nie pada, to zależy od twojego trawienia. Przeciw temu zalecam przede wszystkim mocne stuknięcie w głowę — jeśli sam nie masz dość energii po temu, poproś asystenta. Dalszym środkiem jest uświadomienie sobie, że nawet gdyby tak było, nie chodziłoby przecież o *prawdę*, ale naszą wiedzę. „Prawdy względnej" nie może być.

4. *Zabieg czwarty:* Kiedy już doszedłeś do tego stanu zupełnego niezrozumienia, konieczne jest stanowcze pobudzenie w sobie uczuć godności osobistej; pokora jest piękną cnotą, ale nie należy jej używać w tej chwili — powinieneś, przeciwnie, przypomnieć sobie, że i ty, Drogi Czytelniku, nie jesteś w ciemię bity, a może inteligencji masz więcej od niejednego filozofastra. Celem tego zabiegu jest doprowadzenie do zrozumienia *dlaczego* ty nie rozumiesz: a mianowicie, że nie z powodu „metafizycznej głębi" owego powiedzonka i twojej nieudolności — ale wręcz przeciwnie; dlatego, że samo powiedzonko jest równie bezsensowne, jak „pomarańczowy pierwiastek sześcienny", „kwadratowa woń", albo „przed zjada także".

Kiedy do tego doszedłeś, jesteś zdrów. Pozbyłeś się pryszcza. Rozumiesz, że owe wrzekomo filozoficzne twierdzenie nie jest nawet fałszywe — bo aby być fałszywe trzeba mieć sens, a napis „każda prawda jest względna" właśnie sensu nie ma.

No i jeśli to osiągnąłeś, podziękuj Panu Bogu za uwolnienie od przykrej i kompromitującej choroby mózgowej, a i o mnie, który ci ten sposób poradziłem, wspomnij kiedy w modlitwie, tym bardziej, że żadnego honorarium od Ciebie nie będę wymagał. Wystarczy mi, abyś był zdrów i innym pomagał leczyć się z choróbska.

I.M.B.

KONSTANTY BĄCZKOWSKI

ORZEŁEK

W końcu sam uwierzyłem, że orzełek na mojej czapce przyjechał razem ze mną z Polski i że do Polski z nim wrócę.

Był przepisowo poświęcony na miejscu żłóbka Chrystusa Pana w Betlejem, we wrześniu 1940 r., przy śpiewie „Bóg się rodzi“ a później na Grobie Świętym w Jerozolimie, pod nadzorem brodatego duchownego prawosławnego, który stojąc obok Grobu, zręcznym ruchem zgarniał do głębokiej kieszeni swojej czarnej szaty obficie i chętnie składane piastry pątników-żołnierzy, nie dotykając leżących obok orzełków.

Orzełek stał się moim talizmanem, cenniejszym, niż wszystkie złote „kasztany“ krainy faraonów.

Gdy w niedzielę wyruszałem między Australijczyków do Aleksandrii, Orzełek szedł do plecaka pod deski legowiska, a na czapce osiadał byle jaki, zapasowy ptak, nabyty w kantynie polowej za 2 marne piastry. Taka to ptaszyna zwykle lądowała w kieszeni jakiegoś podchmielonego australijskiego łowcy egzotycznych „souvenirów“.

Kto znał mnie, znał i mego Orła. Na zarozumiałość nie ma żadnego lekarstwa. Czasami studiowałem szczegóły Orła po prostu z nudów, lecz z biegiem czasu moje przywiązanie i szacunek do niego wzrastały coraz bardziej. Zdawało mi się, że Orzeł nabiera życia. To pewne, że nie pochodził spod zwyczajnej sztancy. Rysunek jego był arcydziełem jakiegoś niedocenionego artysty. Wszystko w tym dziele było harmonią i promieniowało jakąś zadzierzystą napastliwością, wszystko, od zaciśniętych szponów po bystre oko i zagięty drapieżnie dziób. Nawet sposób osadzenia korony z krzyżem na wierzchu, mocny, zawadiacki, budził zaufanie i pewność, że korona nie spadnie, jeśli Orzeł zerwie się nagle ze swojej skały do podniebnego lotu, a wydawało się, że lada chwila machnie skrzydłami i poszybuje...

Marzenia, nieszkodliwe marzenia, snute wokół wizerunku Orła! Symbolika Orła wdarła się jednak w nasze życie. Czym byłoby życie, gdyby wyobraźnia nie krasiła go marzeniami pnącymi się aż po pułap nieba, wraz z Orłami. Hej, leć Orle, leć!

Lat przybywało mnie i mojemu Orłowi. Razem padaliśmy i razem zrywaliśmy się do dalszego marszu. Nieraz gubiliśmy się po wertepach pustynnych. Raz nawet rozstaliśmy się na długie trzy miesiące. Było to po nieszczęśliwej bitwie pod Sidi Rezegh, gdy mnie angielskie łapiduchy posłały na łóżko szpitalne, a Orła do worka, razem z moimi „bambetlami“, zdeponowanymi w magazynie szpitalnym. Gdy znów połączyliśmy się, stwierdziłem z miejsca, żeśmy zmienili kolory. On trochę zwichnął jedno skrzydło i zrobił się zielony od pleśni magazynowej a ja straciłem kawałek kręgosłupa i zrobiłem się trochę blady od leżenia i zapachu szpitalnego. Nigdy jednak nie shańbiłem mego towarzysza broni jakimkolwiek czyścidłem. Toteż i tym razem robotę przywrócenia nam obu kolorów naturalnych zostawiłem piaskom pustynnym i wiatrom, wiejącym od Sueskiego kanału.

Tak uzdrowieni dotarliśmy do Iraku, dokąd zbiegło i zleciało się dużo orłów poprzez raj sowiecki. Żaden jednak nie mógł dorównać mojemu, ani wiekiem, ani powagą. Skrzydła zwijały mu się coraz bardziej bojowo i zadzierzyście do tyłu i tylko patrzeć, jak zerwie się w niebieskie przestrzenie.

Tragedia mego Orła wydarzyła się na wielkich ćwiczeniach w Iraku, kiedy w tajemniczych okolicznościach, pozbawiony skrzydeł, uległ spieszeniu.

Ćwiczeniom przyglądał się Naczelny Wódz, generał broni Sikorski, którego dni żywota były już wówczas policzone.

Gorąco, „jak w Iraku“.

Nasza brygada piechoty, będąca trzonem ćwiczeń, nacierała przy wsparciu ostrego ognia artylerii. Ukrywszy obowiązkowo wóz dowodzenia „wysuniętego dowództwa brygady“ za jakimś wzgórkiem, wylazłem na wierzchołek i z dala przyglądałem się, znudzony, zabawie wojskowej.

Czapkę zostawiłem w wozie, pod opieką podobnie nudzących się gońca Biernata i kaprala Łukasika, pochodzących z nowego kontyngentu rosyjskiego. Pod wieczór wróciłem do wozu, aby coś zjeść i sięgnąwszy machinalnie po leżącą na stole czapkę, zdrętwiałem.

Skrzydła Orła zniknęły. Został tylko tułów, który w obramowaniu skrzydeł wydawał mi się zawsze tak pulchny a teraz, jakby nagle schudł i zmizerniał.

Gdzie podziały się skrzydła, które jeszcze godzinę temu ozdabiały Orła?

Nie skory do rzucania podejrzeń, obszukałem milcząco cały wóz, czemu, nie wiedząc o co chodzi, przyglądali się ciekawie goniec i kapral. Nie ma skrzydeł, przepadły! Zacząłem prawidłowe, fachowe śledztwo. Nie, nikt z obcych w wozie nie był. Kapral i goniec byli niezmiernie zaskoczeni stratą i nie mogli wytłumaczyć sobie, ani mnie, w jaki sposób Orzeł stracił skrzydła, a co najważniejsze, gdzie skrzydła się podziały. Moim „Budrysom“ wierzyłem na słowo. Pustynia ma swoje niezbadane tajemnice. Czyż nie staliśmy akurat w bramie biblijnego raju?

Jeszcze raz zacząłem uważnie oglądać okaleczonego Ptaka i serce ścisnął mi nagle jakiś strach zabobonny. Wiatr, nie wiedzieć skąd, załzawił mi oczy, wzniósł kilka porywistych trąb powietrznych i ucichł. Strach, przebrzydły strach, przed niezrozumiałymi nam, ludziom lasów północnych, zjawiskami zawsze zdradliwej pustyni, zaczaił się w duszy. Zmęczenie i zszarpane nerwy zaczęły swoją grę.

Trzeba się opanować.

Opuściłem wóz i zacząłem wpatrywać się w słońce gasnące szybko za górami Ruwandiz. To mnie uspokoiło i przywróciło równowagę.

Po chwili zbliżył się do mnie goniec, młody, 17-letni, strzelec Biernat, którego bardzo lubiłem, choć nigdy mu tego nie okazywałem, chyba w chwilach, gdy szorstko pomagałem mu w nauce języka angielskiego. Dziś tej szorstkości żałuję.

Wręczywszy mi czapkę bąknął: „Chłodno“. Po chwili dodał: „Do czapki przytwierdziłem mego orzełka, a ten stary tu jest, proszę, w papierku“. Czapkę z nowym orzełkiem, na którego nawet nie spojrzałem, włożyłem na rozpaloną głowę a zwłoki mego Orła, owinięte w kawałek papieru kancelaryjnego, złożyłem do wyświechtanego portfelu — jak do grobu.

Sięgnąłem do kieszeni płaszcza zarzuconego na siedzenie samochodu i jak zwykle w chwilach zwątpienia wyciągnąłem Pismo Święte, z którym nigdy się nie rozstawałem, jak nie rozstawałem się z moim Orłem. Otworzyłem na chybił trafił księgę świętą, którą traktowałem jako moją podręczną biblioteczkę o nigdy nie wyczerpującej się, zawsze świeżej treści, zrozumiałej w pełni dopiero tam, na tych ziemiach pustynnych, na których powstała.

Zacząłem czytać:

„Tak mówi Pan: Przeto żeś był odporny ustom Pańskim, a nie strzegłeś rozkazania, któreć przykazał Pan Bóg twój:

Aleś się wrócił i jadłeś chleb a piłeś wodę na miejscu, o którym ci był rzekł: Nie będziesz tam jadł chleba, ani pił wody: NIE BĘDZIE POCHOWANY TRUP TWÓJ W GROBIE OJCÓW TWOICH.“ (1 Królewska).

Jak na jeden dzień za dużo czarnych zapowiedzi. Dość tych paraliżujących wolę rozważań! Nie jestem duchownym. Są w Starym Testamencie rozdziały, których przeciętny chrześcijanin, nawet w pustyni i nawet przygotowany teologicznie, nie rozumie. Po co wyciągać resztki umysłu na manowce niewiedzy? Wszak bliższy nam jest Nowy Testament. Przerzuciłem szybko rozdziały:

„Aleć powiadam wam prawdziwie: Są niektórzy tu stojący, którzy nie zakosztują śmierci, aż ujrzą królestwo Boże.“ (Św. Łukasz 9,27.)

Tak pokrzepiony na duchu, ległem na ziemi, przy kole samochodu i zarzuciwszy na siebie płaszcz, zasnąłem.

Dni i lata mijały teraz dla mnie samotnie. Mój ciężko zraniony Orzeł, do którego nawet nie zaglądałem, odpoczywał sobie w wyświechtanym portfelu. Goniec, młodziutki strzelec Biernat, poległ w bitwie na rzece Chienti we Włoszech, ścięty odłamkami pocisku ciężkiego moździerza, jak dojrzewający kłos pszenicy przedwczesnym cięciem kosy żniwiarza. Krew i odpryski mózgu poległego trysnęły mi w twarz i gdy ja wygrzebałem się spod rozbitego samochodu, on został tam spokojny, cichy, smutnie uśmiechnięty, taki, jakim był za życia: dreptający wytrwale obok, nie rozumiejący celu okrucieństw wojny, teraz martwy, zawinięty w koc i złożony do wyświechtanego portfelu włoskiej ziemi — Orzełek.

Jeszcze jeden „Wieczny odpoczynek“, ruch pożegnalny ręki i... maszerować.

Coraz więcej braci i przyjaciół powiększa korowód poległych, ciągnących się za mną a ja, otarłszy wczoraj z ust i policzka mdło smakującą krew najmłodszego z przyjaciół, który na pewien czas zastąpił mi również walczącego gdzieś w Polsce syna, idę naprzód, idę, bo muszę, idę, bo tak mi każe przypieczętowany przysięgą obowiązek.

Pustynia i słoneczne Włochy zostały daleko za nami. Chłód Anglii pobudził dawną energię. Korpus Rozmieszczenia i Osiedlenia zaczął działać.

Żołnierze nie wiedzą, co z sobą robić. Są jak ptaki na wyraju — rozbiegani, krzykliwi, niezdecydowani.

W tłumie wyszukuje mnie stary przyjaciel, kapral Łukasik, teraz już plutonowy. Jego sympatyczna, kwadratowa twarz, o wystających ostro policzkach Tatara, rozjaśnia się na mój widok. Zabieram go do baraku. Nie widzieliśmy się przez kilka lat. Krzyżują się pytania i odpowiedzi. Stracił nieco ze swojej, wyrobionej przez doświadczenia życiowe, ironii. Nie wie, co z sobą zrobić. Prawdopodobnie, a właściwie napewno, wróci do Kraju. Zna dobrze historię Polski. „Emigracje nie wracają“ — stwierdza sentencjonalnie. Przeszedł piekło „łagrów“ sowieckich i skwar pustyni. Śmierć nie jest mu obca. Cóż jeszcze może go spotkać w Polsce? Nikt nie ma prawa wstrzymywać go od powrotu do domu.

Argumentacja jest przeraźliwie prosta i przekonywująca.

W pewnej chwili pojawia się na jego twarzy zagadkowy uśmiech. Sięgnął po swój portfel i z ostatniej, głębokiej przegrody, wyciągnął coś, co było zawinięte w pożółkły papier kancelaryjny. Podał mi zawiniątko: „To od Biernata“.

Zaalarmował mnie. Z rozwiniętego ostrożnie papierka wyłaniają się dwa skrzydełka. Wiem. To są skrzydła mego okaleczonego Orła. Wyciągam tułów z mego portfelu i składam całość. Orzeł, jakby mrugnął martwą powieką: ożył.

Mój gość kręcił się tymczasem niespokojnie na krzesełku i wreszcie, nie pytany, zaczął spowiedź:

„Znaliśmy Pański szacunek do Orła i pilnowanie Pańskiej czapki przejęliśmy jako część obowiązków. Biernat miał szczególne nabożeństwo do „tego Orła tobruckiego z Polski“ i przyglądał mu się zawsze jak zaczarowany. Tego fatalnego dnia, znów jak zawsze milczący, zaczął bawić się Orłem i próbował wyprostować zaginające się skrzydła, a czynił to nie po raz pierwszy. Nagle trach... Orzeł razem z czapką upadł na ziemię a skrzydełka zostały w palcach przerażonego Biernata. Przestałem się śmiać, gdy spojrzałem na jego twarz bladą, jakby własną śmierć zobaczył. On bo ubrdał sobie, że jak Orzeł wróci cały do Polski, to i Pan wróci, a jak Pan wróci, to i on. Biernat, nareszcie pójdzie sobie spokojnie do domu, z którego wyrwali go dzieckiem bolszewicy. Oddał mi skrzydełka i wymusił na mnie milczenie słowem honoru. Kazał mi doręczyć Panu skrzydełka, gdy go już nie będzie. Cóż miałem robić? Obsztorcowałem go po kapralsku, że durny, że miętus, ale milczałem wobec Pana, bo żal mi było chłopaka“.

„Wszyscy zgłupieliśmy w tej pustyni“ — rzekłem z wyrzutem. — Dlaczego ta tajemnica wokół takiej drobnostki? Dlaczego Biernat, który przecież wiedział, że go nie zjem, nie powiedział mi od razu co się stało? Machnąłbym ręką.“

„On nie chciał Pana zmartwić. O tę blaszkę przecież nie chodziło. Chodziło o legendę, jaka krążyła wśród nas wokół Orła. Biernat wyczuł, że złamał coś więcej, niż martwy symbol — on wdarł się w Pańskie życie, które łączył z własnym. Żal mi go było. Od tego dnia wmówił w siebie, że już nie wróci do Kraju, że zginie. Bał się również o

(Dokończenie na str. 10)

ZOFIA KOSSAK

ZMARTWYCHWSTAŁ PRAWDZIWIE

Jewdokja Iwanowna była wiekowa. Do siedemdziesiątki liczyła swoje lata, potem przestała, dawno już. Po co liczyć? Nikt od tego nie młodnieje. Posiadała mądrość opartą na doświadczeniu i znajomości praw rządzących życiem, która to wiedza jest, niestety, nieprzenośna i każdy stary człowiek zabiera ją ze sobą do grobu.

Bogactwem wspominek Jewdokja nie dzieliła się z nikim. Ponieważ była mądra, rozumiała, że są czasy w których wolno opowiadać o tym, co oczy widziały, uszy słyszały i są czasy, w których, chcąc żyć, — musisz milczeć. Głupi gada, mądry milczy. Co wiesz, to wiesz, nikt ci do myśli nie zajrzy, ale wara o swoich dumkach prawić komukolwiek. Ani córce, ani synowej, ani wnukom. Takie czasy.

Milczenie nie ciążyło babuszce Jewdokji, gdyż sama czuła, że żadne z jej wspomnień nie nadaje się do opowiadania. Gdyby, jak niegdyś, kiedy były święta, rodzina usiadła na przyzbie i młodzi pytali starych, co za ich czasów bywało, babuszka miałaby nielada kłopot. O czym tu bajać? Że kiedy była harną mołodycią, we wsi panował dostatek, ludzie tłusto jedli, głodu nie znali, ubierali się chędogo. Każdy miał kożuch biały, pas czerwony, dwie pary butów skórzanych, czarne do roboty, żółte albo czerwone do cerkwi czy tańca. A ludno w siole, wesoło, śpiewnie... Sąsiadki przy płotach stoją i rajcują, parobczaki pędzą konie wygonem do stawu, krzyczą, prześcigają się... Było tak, było, ale lepiej milczeć. Lepiej też milczeć o latach „swobody“, od której zachowaj Bóg! I o latach głodu, kiedy matki pożerały dzieci, a w każdej chacie warzono i zjadano trupy. I o latach wprowadzenia kołchozów, gdy gospodarze rznęli nocą krowy, konie, woły, żeby ich nie oddać, a bolszewiki za to rozstrzeliwały całe wsie... Z pewnością żadne z tych wspomnień nie nadawało się do opowieści.

Milczała więc, ale pamiętała. Sen starych ludzi bywa płochliwy i krótki. Leżąc w długie noce zimowe na wystygłym piecu stara Jewdokja przeżywała swoje dzieje. Najczęściej wspominała, jak to bolszewicy (szczob ich trastia!) chcieli Pana Boga zrzucić. Sama słyszała komisarza mówiącego: cara łatwo było wygnać, ale dopiero kiedy wygnamy tego Starego Cara, o... — ręką wskazał na Niebo — nasze dzieło będzie skończone... Tak, tak. Na Pana Boga rękę podnieśli. Judaszowi pomnik w Tule postawili. Popów, monachów topili, cerkwie burzyli albo palili, święte relikwie rzucali do gnoju. Nie mogąc dosięgnąć Nieba niszczyli wszystko co Bogu służyło na ziemi; rzeczy i ludzi. Za znak Krzyża, za ukrywaną ikonę, stawiano pod ściankę. Na tysiączne sposoby wmawiano narodowi, że zło na świecie pochodzi z wiary w Boga i że religia to opium dla ludu. Jewdokja Iwanówna oraz miliony jej podobnych nie wiedziały, co to jest opium, lecz nauczono się już milczeć i nie pytać.

Przywieziono kiedyś do wsi na czterech ciężarówkach wystawę bezbożniczą mającą ciemny tłum przekonać o głupocie zabobonu zwanego religią. W brezentowych budach zebrano mnóstwo posągów, obrazów, relikwii, opatrzonych bluźnierczymi napisami. Gdy ludzie weszli, gdy te ikony zobaczyli, jak nie rykną płaczem! Na kolana padli i w piersi się biją i szlochają, jakbyś zgubionemu dziecku oblicze matki pokazał. Studenty, co z wystawą przyjechały rozzłoszczone, wypchnęły gromadę i poczęli na nowo wpuszczać po dwoje, troje, każdego z osobna objaśniając, jaki to był fałsz i oszustwo.

Przyszła kolej na Jewdokję. Ucieszyli się, posłyszawszy jej imię. — Mamy tu twoją świętą patronkę, mamy. Z samej Peczerskiej Ławry przywieziona... Była ty w Peczerskiej Ławrze? A, była? Jewdokja przyznała ostrożnie, że była owszem i świętą moszczę swojej Potronki widziała. — I olej cudowny, co z nozdrzy jej kapał kupowałaś? A? Potwierdziła, że kupowała. Dwa srebrne ruble dała. Mocny, dobry olej. Strasznie radzi, doprowadzili ją do skrzyni, gdzie leżała moszcza św. Eudoksji w złotolitych szatach, które Jewdokja poznała. Tylko czepiec był zdarty, odsłaniając gołą czaszkę woskowego manekinu z przemyślnym blaszanym zbiorniczkiem na olej. Od zbiorniczka szła rurka wzdłuż nosa.

— Baczysz? — pytali.

— Baczu — odparła niechętnie. Żal ją zbierał nad pohańbieniem św. Eudoksji. Monachy z Ławry Peczerskiej, wiadomo, lisy chytre, chciwe na pieniądze. Ot, wymyślili! A taki olej na każdą chorobę pomagał. Święta Patronka Jewdokji siedzi w niebie przy tronie Boga Wszechmogącego i z aniołami śpiewa i swoją moc na olej zsyła.

Jedno co było pewne, to, że Bóg wydał naród Antychrystowi na próbę, jak Hioba. W Wielki Piątek, gdy Chrystus Pan leży w grobie a dzwony w cerkwiach i kościołach milczą, złe duchy, czarownice, strzygi, swobodnie po świecie chodzą i bardzo trzeba się strzec. Tak samo było teraz. Lecz Wielki Piątek trwa jedną dobę, ta zaś pokuta zaciągnęła się na lata i trwała i trwała i końca jej nie było widać. Ludzie umierali w tym popiele pokutnym, w pustce bez Słowa Bożego, bez modlitwy, bez Sakramentów, bez świąt. Wieleż tu dawniej było cerkwi, monasterów, dzwonów, krzyżów przydrożnych, pielgrzymów, starców świątobliwych... Odeszło to wszystko, znikło. Trzeba cierpieć i czekać, aż Bóg, który dopust zesłał, raczy pokutę skrócić i dolę odmienić.

O tych sprawach także nikt z nikim nie gadał. A nuż diabeł podsłucha i rozniesie? Nie trzeba mowy, gdzie każdy czuje jednako. Uczucia skryte były w sercach głęboko, jak ikony w strzechach.

Najwięcej troski przyczyniały Jewdokji, jako też innym babuszkom, wnuczęta. Rodziło się to i rosło jak prawe pogany. O Krzyżu nic nie wiedzą, modlitwy nie znają. W swoją partię wierzą. Uczyć ich o Bogu, strach, bo dziecko wygada z głupoty. Wańka, wnuk Jewdokji, bystry wyrostek, był jej ulubieńcem. Próbowała go nauczyć pacierza, wyśmiał starą. — Nie dla nas te bajki — zapewnił. — My sowieckie ludzie. Boga nam nie trzeba, bo mamy Stalina.

O tym Stalinie mówiono ciągle w szkole i w urzędach. Cara niegdyś tyle nie chwalono, co jego. Że jasny jak słoneczko, że cichy i pragnący pokoju, tylko dla kapitalistów srogi, że ojciec dla wszystkich ludzi sowieckich, a najwięcej dla trudiaszczego narodu. Tak powiadano. Jewdokja Iwanówna wierzyła temu. Miliony podobnych jej kobiet i mężczyzn wierzyło również. Jakże nie wierzyć, skoro wszyscy to samo powiadają?

Potem była wojna z Germańcem. Wojna nic dobrego nigdy nie przyniesie, ale takiej strasznej wojny to jeszcze nie było. Z Hrehorówki połowa ludzi zginęła. Jewdokja, choć najstarsza w siole, przeżyła. Napatrzyła się nieszczęścia i milczała nadal. Potem Germańcy odeszli, nadciągnęły swoje wojska, sowieckie. Żołnierze jechali na czołgach. Na każdym czołgu był portret Stalina i trzy litery U.S.A. Jewdokji to nie ciekawiło, bo czytać nie umiała, ale dzieci szkolne pytały sołdata, co by te litery znaczyły. Pod boki się z pychy wziął i objaśnił, że sam Stalin-Słoneczko kazał te litery wypisać, a znaczą one: Ubij Sukinsyna Adolfa. Adolf, to główny generał Germańców. Potem nauczyciel zabrał głos i tłumaczył, czemu litery nie są rosyjskie. Dlatego, żeby Francuzy, Angliczanie i inna swołocz zachodnia, mogły przeczytać, co Stalin-Słoneczko każe. Te duraki rosyjskiej bukwy nie znają. Dobrze tłumaczył nauczyciel. Kształcony był człowiek.

W tę wojnę wyszedł ukaz, że Stalin pozwala swoim ludom chodzić jak dawniej do cerkwi i modlić się i wierzyć w Boga i nie ma już za to kary. I pop, jeśli się gdzie uchował, może riasę wdziać i śpiewać i diaka nająć. Na to wszystko Stalin pozwala.

Dziwnie było ludziom, bo jakże pójść do cerkwi, kiedy miejsce, gdzie cerkiew stała, zaorane, do pól kołchozowych włączone. Pop, batiuszka, umarł kilkanaście lat temu, innego popa nie ma w okolicy, a komsomoły i pioniery po dawnemu drwią z Pana Boga. Ikony pozostawały w ukryciu, nikt się nie kwapił swojej spod strzechy wyciągać. Myśleli starzy krzyż wznieść na górce, gdzie niegdyś stał i tam pacierze odmawiać. W porę jednak posłyszeli, że komsomolcy obiecują sobie psa na krzyżu powiesić, więc dali spokój i zostało jak przed ukazem.

Szczęściło się starej Jewdokji, bo z młodych, co poszli z sioła na wojnę żaden nie wrócił, jeden tylko jej Wańka powrócił. Z całej familii tylko babkę staruszkę zastał i to siedzącą kątem u sąsiadów, bo chata była spalona. Odmienił się chłop, ani go poznać. Gorzki jakiś, hardy, milczący. — Co ci, sokoliku? — pytała babuszka. Nie odpowiadał. Zapytała kiedyś, co tam widział w zachodnich krajach? Skoczył, nałajał, że biedę chce na niego naprowadzić, że nic nie widział, że tam bardzo źle, a tutaj jest prosto raj — i odszedł.

Niedługo cieszyła się babka wnukiem, bo Wańkę wywieźli. A dokąd, a za co, a czy jeszcze kiedy wróci? Nie wiadomo. Jedno wiadomo: lepiej nie pytać i milczeć. Takie czasy, że trzeba milczeć, aż się dopełni pokuta.

* * *

Snadź dopełniła się nieoczekiwanie. Jednego dnia, pozornie podobnego do innych dni, przyszła wiadomość, od której zagotowało się w kołchozie hrehorowskim. Stalin-Słoneczko bardzo chory i cały naród ma modlić się, żeby wyzdrowiał. Za Stalina nabożeństwa będą odprawiane, niech ludzie modlą się i poszczą i Boga o zdrowie dla Stalina proszą...

Zjechało się różnych żulików i dalej pędzić do modlitwy, jak przedtem gnali do roboty. Prezes kompartii salę zebrań dał na modły. Komsomoły i pioniery ogłupiałe już stroją ściany jedliną. Nic nie rozumieją, ale stroją. Wszystko dotąd zdawało się im proste: Stalin i Partia są najsilniejsi na świecie. Kto przy Stalinie i Partii stoi, ten bezpieczny i bogaty. Tak było. Teraz ziemia chwieje się pod ich stopami. Z Kremla, z samego Kremla przyszedł nakaz, by modlić się za Stalina do Boga, wyszydzanego Boga starych dziadów i babek. Znaczy, Bóg silniejszy niż Stalin? Jak tu żyć? Gdzie się obrócić? Już ciągną starzy z ikonami wydobytymi z wieloletniego ukrycia, z krzyżami, z modlitewnymi książkami. Stół prezydialny kompartii będzie ołtarzem. Krzyż na nim, obrazy wokoło. Uklękli wszyscy i dopieroż płacz! Płacz jak niegdyś na bezbożniczej wystawie, lecz pomnożony trzydziestoma latami tęsknoty.

„Módlcie się o zdrowie dla Stalina!“ — woła nauczyciel-politruk. Modlą się gorąco, szczerze, z przepełnionych prostych serc bije ku niebu żarliwe błaganie. Niezliczone Hrehorówki proszą o zdrowie dla złowrogiego tyrana, cynicznego okrutnika. Niby białe gołębie, modlitwy te otaczają Boży tron, aż chmurzy się Michał Archanioł, trzymający w dłoni szale Sprawiedliwego Sądu.

* * *

Zmierzchało, kiedy Jewdokja Iwanowna wyszła z sali zebrań partyjnych zamienionej na kaplicę, szczęśliwa i słaba. Myślała, że pewnie przyjdzie się umierać. Ot, dobrze, że końca pokuty dożyła.

— Chrystos woskres! — zawołał do niej z daleka sąsiad, równolatek, Timofiej Piotrowicz.

Nie zdziwiło Jewdokji powitanie, choć to nie była Wielkanoc. Uśmiech rozjaśnił jej bezzębną, pomarszczoną twarz, gdy po raz pierwszy od trzydziestu sześciu lat odparła głośno, uroczyście: Istinno woskres.

Zofia Kossak

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

WIELKANOC

Il y a dans la religion toute une patrie. (Chateaubriand)

Zbędni na obcej ziemi, na własnej ścigani,
Chodzący całym światem od granic do granic,
Donkichoci wpatrzeni w tajemne miraże,
Niewidzialne dla innych; wędrowni kuglarze,
Na których tysiąc oczu spogląda ciekawie,
Gdy z pieśnią i sztandarem przechodzą przez gawiedź.
Rycerze, co w bój idą ze znakiem swej Damy —
Obrazkiem z Jasnej Góry albo z Ostrej Bramy;
Nędzarze, co za cały zdobyty majątek
Niosą w ręku ubogi tobołek pamiątek:
Różaniec z Ziemi Świętej, medalik z Loreto,
Wiersz wspólnie krwią pisany z żołnierzem-poetą,
Pokruszony opłatek, co w tułaczce zszarzał,
Liść z montekassińskiego zerwany cmentarza,
A czasem skarb cenniejszy nad złota obfitość:
Garsteczkę polskiej ziemi w woreczku zaszytą...
Takich nas, obcych światu i w świata przemocy
Uwikłanych — zastaje święto Wielkiejnocy.

Nie biją dzwony sercom zachwyconym wiosną
I organowe pieśni nad głową nie rosną,
Nie płyną między kwiaty, ołtarze, kolumny,
Czarne ściany baraku lśnią jak deski trumny,
Dudni wiatr atlantycki po blaszanym dachu,
Jak rzucane na wieko ciężkie garście piasku...

Nagle w posępność wiatru i w czarność ścian wrasta
Ta pieśń o dniu wesołym, który nam dziś nastał,
Wyniesiona z ojczyzny, ze zgorzelisk czadu
I z płomieni wydarta — pieśń ojców i dziadów.
Zrazu jedną łodygą wśród mroku wystrzela,
Jak wiosenna gałązka rodzimego ziela,
Słowem niby korzeniem serca się uczepi,
Melodią jak koroną liściastą się sklepi,
Aż w gałęzie obrosła, w konary rozwita,
Szumi, gra, w niebo bije — i Polską zakwita!

Rozkołysał się dzwonem wioskowy kościółek,
Owinął się lipami i lotem jaskółek,
Opasał się jak wstążką ze złota i tęczy
Wiejską drogą, nad którą pierwsza pszczoła brzęczy.
Naprzeciw bramy kruchta jak domowy ganek,
Pod dachem krzyż drewniany, pod nim polny wianek;
Słońce we drzwiach przystaje, zagląda po kątach,
Jak domownik chędogi koło ścian się krząta;
Pod stropem piszczą wróble opętane wiosną,
To fruną między lipy, co u okien rosną,
To wrócą jak z ogrodu rozbawione dzieci,
Aby krzyczeć, że ciepło i że słońce świeci;
Schylone twarze świętych jak twarze rodziny,
Z którą się złe i dobre przeżyło godziny,
I znajomych aniołów gromada skrzydlata,

Na którą oczy dziecka patrzyły przez lata,
A w górze błogosławiąc wznosi dłoń świetlistą
Gospodarz tego domu — zmartwychwstały Chrystus.
Panie, który nad nami czynisz cud widomy
I w pieśni wielkanocnej przywracasz nam domy,
I krzepisz nas tym cudem — gromadkę zwątpiałą —
Zedrzyj z nas najstraszliwszą naszą winę — małość.
Jeśli słusznie wierzymy, że nas z granic Polski
Wywiodłeś na olbrzymie szlaki apostolskie,
Abyśmy prawdę Twoją nieśli, co ma świecić
Nieugasłym promieniem dwudziestu stuleci, —
To tchnij w nas wielkość ducha! Chryste Zmartwychwstały!
Rozwiej nas jak chorągwie Twojej świętej chwały,
Zapal nas jak płomienie, rzuć jak meteory,
Daj nam dumę przekonań i nadziei poryw
I twardy upór wiary i wytrwałość mocy,
I zrób nas współtwórcami Twojej Wielkanocy!

Zofia Bohdanowiczowa

BOGUSŁAW PRZERADZKI

CYKL GROTTGERA W LONDYNIE

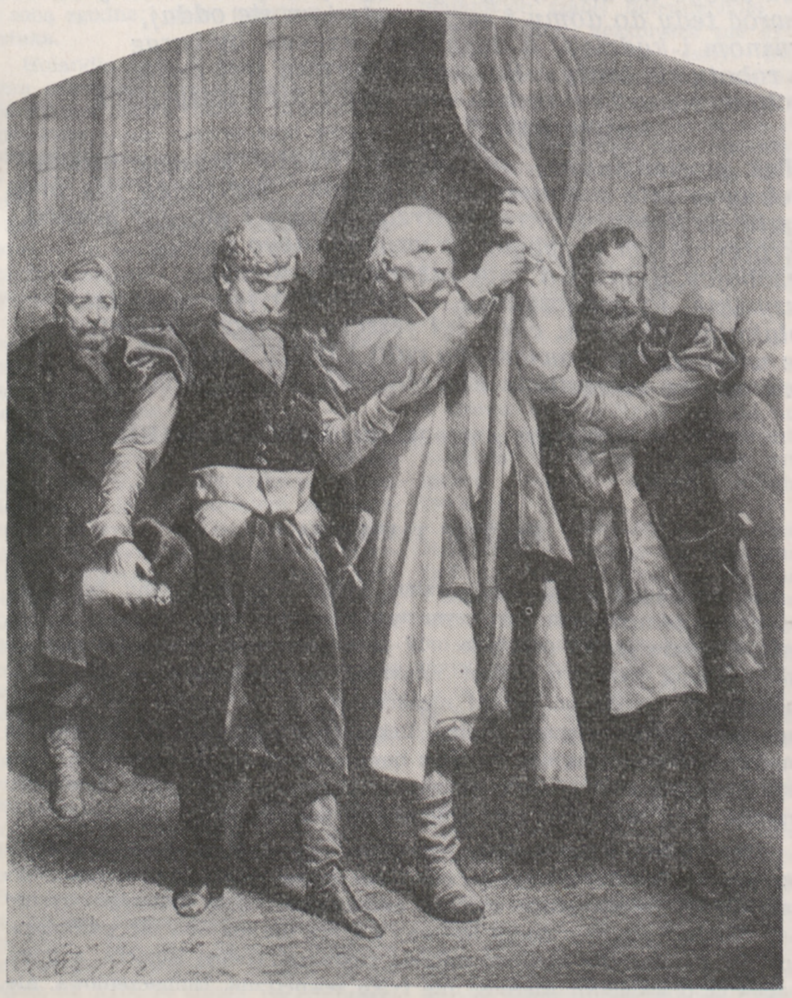
„WARSZAWA II"



NABOŻEŃSTWO NA CMENTARZU



PLAC ZYGMUNTA



LUD I SZLACHTA W POCHODZIE

Dnia 15 października 1861 roku mieszkaniec Londynu, p. George Mitchell, przebywający wówczas w Warszawie, przechadzał się ulicami miasta w towarzystwie brytyjskiego konsula generalnego i wicekonsula. Było to w okresie wielkich manifestacji patriotycznych, w których brała udział cała niemal ludność Warszawy. Właśnie w tym dniu nieprzejrzane tłumy zeszły się na uroczyste nabożeństwa dla uczczenia rocznicy zgonu Kościuszki i znów jak poprzednio kozacy i czerkiesi szarżowali na ludzi zebranych przed kościołami, bijąc ich nahajkami. W nocy żołnierze wtargnęli do świątyń, w katedrze św. Jana i w kościele bernardynów doszło do scen niebywałej brutalności wobec przetrzymywanych tam od rana uczestników nabożeństw. Spowodowało to następnego dnia zamknięcie sprofanowanych kościołów przez władze duchowne.

P. George Mitchell, rozstawszy się o godz. 12 w południe z konsulem i wicekonsulem, szedł dalej w towarzystwie Polaka, od którego zamierzał nabyć jakieś stare zabytki. Na ulicy Miodowej obaj otoczeni zostali nagle przez oddział kozaków dowodzony przez oficera i podoficera. Jeden z kozaków uderzył Polaka, inny zas natarł cwałem na Anglika i zwalił go piką na ziemię, po czym on go badał leżącego. Nie pomogły protesty Mitchella w języku francuskim i niemieckim, ani jego głośne zapewnienia, że jest cudzoziemcem. W końcu kozacy odjechali, a jacyś ludzie podnieśli Mitchella z ziemi i zabrali go do sąsiedniego domu, gdzie się nim zaopiekowano.

Były to czasy, kiedy nie wolno było bezkarnie „szarpać ogona" lwa brytyjskiego i kiedy wszelka zniewaga czy atak na obywatela Zjednoczonego Królestwa wywoływał ostrą i zwykle skuteczną reakcję dyplomatyczną (niekiedy popartą przez demonstrację zbrojną). Tak się też stało i tym razem. Poturbowany, zresztą niegroźnie, Mitchell wystosował natychmiast do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, lorda Russella list, domagający się interwencji w Petersburgu. Po liście tym poszły dalsze; Mitchell podkreślał, że w żadnej mierze nie przekroczył obowiązujących w Warszawie przepisów o stanie oblężenia, równocześnie zaś opisał sceny znęcania się nad ludnością polską, których był świadkiem, bądź o których mu opowiadano.

W kilka dni po wypadku rosyjski generał-gubernator, hr. Lambert wysłał pułkownika artylerii Starynkiewicza do Mitchella, aby go przeprosić i wyrazić ubolewanie z powodu tego, co zaszło. Mitchell odparł, że oświadczeń tych przyjąć nie może, gdyż sprawę przekazał już „rządowi Jej Królewskiej Mości, który, jak jest przekonany, uzyska dla niego pełne zadośćuczynienie od rządu Imperatora Rosji".

Wróciwszy przez Niemcy do Londynu, Mitchell wymienił jeszcze kilka dalszych listów z Foreign Office. Ostatecznie w dniu 4 grudnia lord Russell zawiadomił go osobnym pismem, że w wyniku interwencji ambasadora brytyjskiego w Petersburgu, lorda Napiera minister rosyjski ks. Gorczakow dał instrukcję ambasadorowi baronowi Brunnow, by wyraził ponowne „głębokie ubolewanie" z powodu „ataku" na p. Mitchella. Dowódca oddziału kozaków, który się tego dopuścił, został odszukany i poniesie karę. Równocześnie lord Russell poinformował Mitchella, że jeśli przeproszenie to nie zostało skierowane także osobiście do niego, to stało się to z powodu opublikowania jednego z listów Mitchella do lorda Russella, w którym „skargi osobiste pomieszane zostały z innymi, bardziej ogólnymi tematami."

Chodziło tu niewątpliwie o list Mitchella z dnia 21 listopada 1861 r., w w którym dawał on wyraz swej gorącej sympatii dla narodu polskiego, najostrzej potępiał zachowanie się władz rosyjskich, sławił unię Polski z Litwą i domagał się, by Anglia dopomogła Polsce do odzyskania niepodległości. Zarazem proponował, by na tron wskrzeszonego Państwa Polskiego wstąpił jeden z synów królowej Wiktorii, czego — jak twierdził — pragną „najwpływowsi ludzie w Polsce". List ten ogłoszony został przez jedno z pism polskich w ówczesnej Galicji i do tego właśnie lord Russell czynił aluzję.

Mitchell musiał w rezultacie zadowolić się satysfakcją, udzieloną mu przez rząd rosyjski w drodze pośredniej, ale za to wydał całą swą korespondencję z lordem Russellem i Foreign Office'm w postaci oddzielnej broszury, która ukazała się w Londynie w r. 1862 p. t. „Letters addressed to Earl Russell respecting the Late Events at Warsaw, and in Poland". W Paryżu wyszedł zaraz potem przekład francuski broszury.

Sprawę Mitchella — nieznaną dotąd czytelnikom polskim — opisałem tu obszerniej dlatego, że właśnie w wyniku jego przejęcia się wydarzeniami w Polsce w dramatycznym okresie przedpowstaniowym — w Londynie znalazł się na stałe jeden z najwspanialszych cyklów rysunkowych Artura Grottgera.

* * *

W początku maja 1862 r. otwarta została w stolicy Anglii wielka Wystawa Międzynarodowa, poświęcona głównie przemysłowi, ale posiadająca również wcale obfity, choć nie szczególnie interesujący, dział sztuki. Wystawa mieściła się w budynku, położonym przy Exhibition Road (stąd nazwa tej, tak dobrze dziś Polakom znanej ulicy) i Cromwell Road, na terenach, których większą część zajmuje dziś Muzeum Historii Naturalnej. Galeria sztuki, brytyjskiej i zagranicznej, przytykała bezpośrednio do Cromwell Road.

Oficjalny katalog działu sztuk pięknych zawiera w rozdziale „Austria", w spisie akwarel i rysunków, pozycję następującą:

„GROTTGER A. 1166. Chalk Drawings. — Scenes from the Revolution in Warsaw. — Artist."

Ostatnie słowo oznacza, że rzecz stanowiła własność samego artysty. Wystawione kartony — to nowa wersja cyklu „Warszawa", obrazującego właśnie okres manifestacji patriotycznych. Cykl ów, wykonany przez Grottgera w Wiedniu w r. 1861, wystawiony został w tamtejszym „Kunstvereinie" i następnie wydany w reprodukcjach fotograficznych przez firmę Miethke i Wawra. Oceniony bardzo przychylnie przez krytyków, przyczynił się do utwierdzenia wysokiej już w kołach artystycznych Wiednia pozycji Grottgera, liczącego wówczas zaledwie 25 lat. Było to dla niego niewątpliwie bodźcem do wykonania nowej wersji „Warszawy". Wersja ta góruje pod każdym względem nad poprzednią, której motywy częściowo powtarza, ale i przetwarza, stanowiąc duży krok naprzód w rozwoju twórczości Grottgera.

Interesujące, choć krótkie uwagi o „Warszawie II" znajdujemy w romantycznych wspomnieniach wielbicielki Grottgera, Karoliny Giżyckiej. 16-letnią pannę Karolinę, Polkę wychowaną w środowisku niemieckim, artysta poznał na balu w Wiedniu. Miał jej udzielać lekcji rysunków, rzecz jednak nie doszła do skutku, gdyż matka panienki, dbała o jej bogate zamążpójście, przeraziła się rozwijającym się w niej afektem dla ubogiego malarza i listownie poprosiła go, by przestał bywać w ich domu. Wkrótce potem wyjechała z córką na wystawę do Londynu.

We wspomnianej „Reminiscenz" o Grottgerze, wydanej po niemiecku w Wiedniu w r. 1878 (pod kryptonimem F. M. Aren), Karolina Giżycka tak pisze o „Warszawie II", po obejrzeniu jej na wystawie londyńskiej: „Było to rozszerzone i wzbogacone odtworzenie tej samej myśli... Ogólnie biorąc, potraktowane ono zostało po obu stronach w sposób bardziej aktywny, podczas gdy w pierwszych rysunkach przeważał ból i elegia Także „Wdowa" (mowa o jednym z kartonów cyklu — przyp. aut. art.) doznała tu zmiany charakteru: stała się kobietą piękną i dumną, o jasnych włosach." (Str. 77).

Cykl Grottgera wzbudzić musiał jednak podziw nie tylko p. Giżyckiej, ale i wielu innych gości wystawy, tym bardziej, że przez całą Europę Zachodnią przepływała znów fala gorącej, choć niestety biernej sympatii dla Polski. Jednym z tych gości był znany już nam p. George Mitchell. Cykl Grottgera, przypominający mu szczególnie sugestywnie to, co sam na własne oczy widział i przeżył niedawno w Warszawie, musiał go porwać i zafascynować — dość, że go kupił.

Od tego czasu przez lat z górą sześćdziesiąt głucho było o „Warszawie II"; nikt w Polsce nie miał pojęcia, co się z nią stało i gdzie się znajduje. Jedyny wyjątek stanowił karton „Wdowa"; w zmienionej nieco postaci ukazał się on w ciągu 1862 r. jako drzeworyt w czasopiśmie wiedeńskim „Mussestunden", którego Grottger był artystycznym współpracownikiem.

Antoni Potocki w swej bogato wydanej książce „Grottger" (Lwów, 1907) zamieszcza o „Warszawie II" taką melancholijną wzmiankę: „Wiemy... że została przez kogoś w Londynie nabyta i poza reprodukcją „Wdowy" ani w Wiedniu ani w kraju jest nieznana. Autor wzmianki o niej na str. 292 „Illustrierte Zeitung" uważa tę serię za bardziej jeszcze skończoną niż pierwsza, niestety nic o tym powiedzieć nie możemy... Czy kiedyś, bodaj w godnych oryginału reprodukcjach, będziemy mieli w Polsce całość tej jedynej w swoim rodzaju epopei rysunkowej?..."

Sprawa „Warszawy II" korciła ciągle naszych historyków sztuki i to najwybitniejszych. Zmarły w r. 1922 prof. Jan Bołoz-Antoniewicz przez długie lata poszukiwał cyklu w różnych kolekcjach brytyjskich, osobliwym zrządzeniem losu pominął jednak właśnie te zbiory, gdzie cykl się znajdował. Co więcej, pozostawał w mylnym przekonaniu, że zbadał jak najdokładniej wszystkie zbiory publiczne. W swej, świetnej zresztą, monografii Grottgera, wydanej w Lwowie w r. 1910, pisał: „Me poszukiwania, prowadzone drogą korespondencji, wydały dotychczas jeden dopiero rezultat, co prawda negatywny: cykl ten nie znajduje się w żadnym publicznym zbiorze angielskim."

Odkrycia „Warszawy II" dokonały dopiero na wiosnę 1925 r. Miss Harriet E. Kennedy i p. Zofia Umińska, zasłużone tłumaczki dzieł literatury polskiej (m. i. „Nieboskiej Komedii" Krasińskiego) na język angielski. Znalazły

(Ciąg dalszy na str. 6)



WDOWA



ZAMKNIĘCIE KOŚCIOŁÓW



KSIĄDZ W WIĘZIENIU

CYKL GROTTGERA W LONDYNIE

one cykl Grottgera w dziale rycin (Print Room) Victoria and Albert Museum w dzielnicy South Kensington, a więc blisko miejsca, gdzie kartony te były wystawione w r. 1862. Z zapisków muzealnych okazało się, że w 1878 r. p. George Mitchell przekazał je testamentem temu muzeum — i tam „Warszawa II" spoczywała tyle lat w niezwykłym odosobnieniu, choć, jak się zdaje, od początku figurowała w katalogu.

Panie Kennedy i Umińska uzyskały fotograficzne reprodukcje kartonów i przesłały je do Polski na ręce historyka sztuki, prof. Mieczysława Tretera. W kilka miesięcy potem nakładem firmy „Książnica-Atlas" pojawiła się jego rozprawa „Nieznany cykl Artura Grottgera — Warszawa II" z dołączonymi dobrymi reprodukcjami wszystkich kartonów. W r. 1928 o „Warszawie II" pisał z entuzjazmem w „Przeglądzie Współczesnym" Leon Piniński. Mimo to spośród kartonów tylko jeden, przedstawiający plac Zamkowy, doczekał się nieco liczniejszych reprodukcji w książkach czy czasopismach.

Być może to jest przyczyną, że wśród obecnej licznej emigracji polskiej nad Tamizą trudno znaleźć kogoś, kto by w ogóle wiedział o istnieniu londyńskiego cyklu Grottgera — a i prasa emigracyjna, polująca w chwalebny zresztą sposób na „polonica" zagraniczne, temat ten jak dotąd przemilczała.

Czas wyrwać „Warszawę II" z tej nowej „izolacji". Artykuł niniejszy, obok faktów zawartych już w dawniejszych opracowaniach, podaje szereg dalszych danych, które do tej pory nigdzie jeszcze ogłoszone nie były.

* * *

Tak samo jak cykl „Warszawa I", od dawna już dobrze znany w kraju z licznych reprodukcji, i „Warszawa II" obejmuje siedem kartonów, wykonanych kredką. Mimo, że oba cykle mają ten sam temat główny, tylko trzy motywy: pochód przedstawicieli ludu i szlachty ulicami stolicy, wdowa po zabitym modląca się w kościele oraz zamknięcie sprofanowanej świątyni, wyraźnie się w obu cyklach powtarzają, zresztą w mocno zmienionej formie. Reszta kartonów „Warszawy" I i II łączy się między sobą jedynie ideowo, przez odtworzenie wydarzeń r. 1861 i ich atmosfery.

O ile kolejność kartonów „Warszawy I" i ich tytuły zostały ustalone przez samego artystę, o tyle brak zupełnie w tym zakresie wskazówek co do „Warszawy II". Następstwo rysunków w krótkim ich opisie, zawartym w katalogu „Print Room", jest zupełnie przypadkowe i świadczy, że autor tych zapisków nie znał biegu samych wydarzeń, które Grottger obrazuje. Prof. Treter w swej rozprawie proponuje inny układ — układ jedynie zresztą możliwy, którym tu się także posłużę.

Karton pierwszy przedstawia nabożeństwo patriotyczne na cmentarzu. Widzimy kilkanaście modlących się i rozśpiewanych osób ze wszystkich warstw społecznych. Na pierwszym planie uderzają trzy niezrównane sylwetki klęczących ludzi: starego chłopa, rzemieślnika w czamarze i młodego studenta w mudurku rosyjskim. W głębi widoczny jest między innymi człowiek ze sztandarem o pięknym profilu Polonusa starej daty, grupa trzech młodych kobiet i Żyd z siwą brodą, prawdopodobnie rabin.

Karton następny przedstawia plac Zygmunta (tak zwano wówczas plac Zamkowy) o świcie — plac zamieniony w pobojowisko po salwach wojska rosyjskiego do manifestującej ludności polskiej. Grottger miał tu zapewne na myśli krwawe wydarzenia z dnia 8 kwietnia 1861 r., w których padła duża ilość zabitych i rannych. Mury domów podziurawione są kulami; z rozbitego okna, którego jedna futryna wypadła na bruk, powiewa na zewnątrz firanka. Na bruku wśród innych przedmiotów wala się konfederatka. Grozy obrazu dopełnia wyjący pies, na pierwszym planie kompozycji. W dali widnieje kolumna Zygmunta. Całość mimo woli przywodzi na myśl wizję tej samej części Warszawy w norwidowskim „Fortepianie Szopena".

Wspaniały jest pochód uliczny na kartonie trzecim, uwydatniającym zbratanie się stanów. Po środku kroczy chłop w sukmanie, który dzierży mocno w dłoniach sztandar, wzniesiony w górę. Chłopa podpierają z obu stron dwaj szlachcice w kontuszach. Na drugim planie widoczny jest kroczący w pochodzie mieszczanin.

Karton ten przewyższa znacznie, zarówno w kompozycji, jak w rysunku postaci, analogiczną grupę z „Warszawy I". To samo można powiedzieć o bardzo pięknym kartonie czwartym, przedstawiającym wdowę z dwojgiem dzieci w kościele. Jest ona o wiele lepsza w wyrazie od swej poprzedniczki, jak to zauważyła już K. Giżycka w cytowanych wyżej wspomnieniach.

Podobną refleksję nasuwa karton piąty, przedstawiający zamykanie kościoła. Zamiast dwóch bernardynów, jak w „Warszawie I", mamy tu ich trzech; w obu cyklach zakonnik, który zamyka bramę kluczem, ma przewiązaną ranę na głowie. Uderza świetna posągowa kompozycja grupy.



SYBIR

Nowym, szczególnie dziś wstrząsającym motywem, jest postać księdza w więzieniu, na kartonie szóstym. Rysunek ten oparty jest na prawdziwym fakcie aresztowania i zesłania w głąb Rosji szeregu duchownych, którzy odmówili posłuchu rozkazom władz rosyjskich. Znajdowali się wśród nich m. i. administrator diecezji warszawskiej ks. Białobrzeski, który na znak protestu przeciw wtargnięciu żołnierzy do kościołów zarządził ich zamknięcie w w październiku 1861 roku, ks. Wyszyński i ks. Mikuszewski, przełożony kościoła św. Aleksandra.

Na kartonie Grottgera postać księdza, spoglądającego ku otwartym drzwiom celi więziennej, nacechowana jest pełną godności siłą i zdecydowaniem na wszystko. Taka sama moc wewnętrzna, daleka od biernego cierpiętnictwa, promienuje i z innych postaci „Warszawy II". Ci ludzie naprawdę noszą w sobie wielkość i majestat Polski.

Ostatni — siódmy z rzędu karton — przedstawia, jak się możemy domyśleć, Sybir. Na tle niewypowiedzianie ponurego nieba, nad stepem zasłanym śniegiem i pokrytym śladami stóp ludzkich, unoszą się zgłodniałe ptaki. Z boku widać krzyż, sklecony z dwóch patyków i znaczący prawdopodobnie miejsce zgonu jednego czy większej liczby zesłańców.

Wszystkie kartony mają w rogu splecione inicjały AG i datę 1862. Naklejone są na karton i oprawne w „passe-partout"; cały cykl przechowywany jest w specjalnej skrzynce. Zawiera ona nadto pisaną po angielsku krótką notatkę o życiu i twórczości Grottgera. Cykl oznaczony jest w katalogu numerem 8409. A — G.

„Warszawa II" stanowiła niezmiernie ważny etap w krótkiej a mimo to bogatej swymi walorami twórczości Grottgera. Artysta osiągnął tu tę lapidarność ujęcia, plastyczność i różnorodność w rysunku postaci i twarzy, to spotęgowanie wyrazu, które cechuje trzy późniejsze jego cykle: „Polonię", „Lituanię" i „Wojnę". Cykle te znalazły się na wystawie paryskiej roku 1867; zabrakło tam „Warszawy II", sprzedanej, jak widzieliśmy, w ręce prywatne już na pięć lat przedtem.

Dzieło Grottgera spotkało się z wysokim uznaniem czołowych przedstawicieli krytyki francuskiej. Niestety śmierć, która zabrała go w tym samym roku, w wieku niespełna trzydziestu lat, przerwała dalszy rozwój tej niezwykłej indywidualności artystycznej.

Twórczość Grottgera ma niewątpliwie charakter „tendencyjny" w tym znaczeniu, że świadomie sublimuje i idealizuje uczucia narodowe i walkę o niepodległość. Sam artysta wyznawał, że pracę swą traktuje jako posłannictwo. „Ja apostołem a wieszczem w artyzmie moim być muszę, — pisał w maju 1866 r. — ja najdrobniejszą pracą moją podupadłego ducha bliźnich moich podnosić, ja ich pocieszyć, ja im odwagi i miłości dodawać muszę!..."

Omal jak echo tych słów brzmi oświadczenie Sienkiewicza, że pisał swą „Trylogię" „dla pokrzepienia serc". A przecież w obu wypadkach ta „tendencyjna" twórczość wznosi się na wyżyny wielkiej sztuki. Świadczy to, jak niebezpieczne mogą być wszelkie ekskluzywne uogólnienia w tym zakresie, — niebezpieczne tam, gdzie wchodzą w grę potężne indywidualności twórcze.

Żyjemy dziś w okresie aż nadto wśród Polaków zrozumiałej reakcji przeciw wszystkiemu, co potocznie określane jest mianem „romantyzmu politycznego". Zdarza się często, że i twórczość Grottgera włączana jest do tej kategorii. A jednak ów typ patriotyzmu, któremu Grottger daje tak intensywny i wysubtelniony wyraz w swych rysunkach, stanowi nieodłączną cechę duchowości polskiej, która bez niego kurczy się moralnie i traci siłę. Chodzi tylko o to, by ten szlachetny kruszec stał się bronią w działaniu przewidującej i zdyscyplinowanej myśli politycznej. Niestety myśl ta i wsparte na niej poczynania zawodziły aż nadto często, — nie tylko w tragicznej epoce lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Bogusław Przeradzki

HOMER — Przekład: I. WIENIEWSKI

POŻEGNANIE HEKTORA Z ANDROMACHĄ

(Iliada ks. VI, 371 - 502)

Hektor nie znalazł w pałacu małżonki białoramiennej.
Ona właśnie z syneczkiem i dworką strojnie odzianą
Stała na baszcie, gorzko zawodząc i łzy lejąc rzewne.
Skoro więc Hektor nie spotkał w komnatach cnej Andromachy,
Zawrócił, przystanął na progu i rzekł do służebnic te słowa:

„Hej, służebnice, żywo, wiadomość pewną mi dajcie,
Dokąd wyszła z pałacu małżonka ma białoramienna;
Czy do mych sióstr pośpieszyła lub strojnie odzianych bratowych,
Czy do świątyni Ateny, bo podążyło tam wiele
Trojanek o lokach trefionych, by błagać mocarkę o litość."

Na to skrzętna szafarka odparła takimi słowami:

„Skoroś rozkazał, Hektorze, by pewną dać ci wiadomość,
Wiedz, że nie ma twej żony u sióstr twych ni strojnych bratowych,
Ani w świątyni Ateny, choć podążyło tam wiele
Trojanek o lokach trefionych, by błagać mocarkę o litość,—
Lecz pośpieszyła na basztę Ilionu, albowiem słyszała,
Że ulegają Trojanie, a sroga jest przemoc Achajów.
Tam więc, na mury, pobiegła co tchu Andromacha strwożona,
Do oszalałej podobna; a za nią z dzieckiem piastunka."

Tak powiedziała szafarka, a Hektor ruszył pośpiesznie
Drogą tą samą z powrotem przez miasto szerokouliczne.
Kiedy zaś wielki przeszedłszy gród, do bramy się zbliżył
Skajskiej, ażeby właśnie tamtędy wyjść na równinę,
Wówczas, zdyszana, zabiegła mu drogę małżonka posażna,
Andromacha, latorośl rodzica wielkodusznego,
Eetiona, co mieszkał u stóp lesistego Plakosu,
W Tebie Podplakijskiej, a władał ludem Cylicji.
Jego to córę pojął ów Hektor o hełmie spiżowym.
Ona go tedy spotkała, a z nią wraz dworka szła strojna,
Dziecko trzymając na ręku, głupiutkie jeszcze niemowlę,
Hektorowicza, ślicznego jak gwiazda, drogiego tak ojcu,
Który go zwał Skamandriosem, atoli inni Trojanie
Astyanaksem), bo Hektor jedynym był Troi obrońcą.*
On więc, ujrzawszy syneczka, uśmiechnął się doń w milczeniu ,
Zaś Andromacha płacząca stanęła przy nim bliziutko,
Dłoń pochwyciła mężowską i w te ozwała się słowa:

„O ty szaleńcze, odwaga cię zgubi, czyż nie masz litości
Nad tym dzieciątkiem, nade mną nieszczęsną, co rychło zostanę
Wdową po tobie? Bo wnet Achajowie uderzą na ciebie
Ciżbą i śmierć ci zadadzą. A dla mnie byłoby lepiej,
Kiedy cię stracę, zagrzebać się w ziemi, gdyż mieć już nie będę
Żadnej w życiu pociechy, gdy los cię śmiertelny dosięgnie,
Tylko ból... Ja nie mam ni pani matki ni ojca.
Ojca bowiem mi zabił do bogów podobny Achilles,
Gdy obrócił w perzynę Cylicji ludne grodzisko,
Tebę o bramach wyniosłych. Uśmiercił więc Eetiona,
Lecz go nie obdarł ze zbroi, bo wzdrygał się przed tym w swej duszy,
Ale go spalił na stosie wraz z bronią misternie kowaną
I mogiłę usypał. A tę otoczyły wiązami
Nimfy górskie, zrodzone z Zeusa egidodzierżcy.
Siedmiu braci też miałam w komnatach naszego pałacu,
Ale w jednym dniu wszyscy w Hadesu zeszli otchłanie.
Bo wymordował ich wraz szybkonogi boski Achilles,
Kiedy owce paśli śnieżyste i krowy powolne.
Matkę zaś, co królowała u stóp lesistego Plakosu,
Tutaj przywlókł zwycięzca ze wszystką resztą zdobyczy.
Kiedy zaś ją uwolnił, bogaty okup dostawszy,
W domu ją ojca zabiła Artemis, sypiąca strzałami.
Ty mi więc jesteś, Hektorze, i panią matką i ojcem,
Jesteś mi bratem kochanym i moim czułym małżonkiem.
Zlituj się tedy nade mną i zostań tutaj na baszcie,
Nie czyń dziecka sierotą i nie czyń żony twej wdową.
Wojsko natomiast uszykuj przy dzikim drzewie figowym,
Gdzie najłatwiej się wedrzeć do miasta, na mur się wdrapawszy.
Trzykroć już tam szturmowali najlepsi rycerze achajscy
Z Ajasami na czele i sławnym Idomeneusem,
Z Atrydami oboma i chrobrym Diomedesem.
Nie wiem, czy im to doradził jakowyś wieszczek przemyślny,
Czy też ruszyli sami, bo duch ich pędził do walki."

Na to odrzekł jej Hektor ogromny o lśniącym szyszaku:

„Żono, i mnie nękają te myśli; lecz byłbym zhańbiony
W oczach Trojan i powłóczyście odzianych Trojanek,
Gdybym, stchórzywszy, stronił z daleka od wrzawy bitewnej.
Przed tym ma dusza się wzdryga, boć zawsze zwykłem być dzielny,
Idąc do boju w najpierwszych szeregach trojańskich rycerzy,
Pomny na wielką sławę rodzica i moją też własną.
Dobrze ja bowiem to wiem i to mi w duszę zapadło:
Przyjdzie dzień, kiedy legnie w gruzach Ilionu gród święty,
Zginie z swym ludem Priamos, co zbrojny jest w dzidę z jesionu.
Lecz nie tyle mnie trapią te przyszłe Trojan cierpienia,
Ani samej Hekuby, ni nawet władcy Priama,
Ani braci szlachetnych, co legną w pyle pokotem,
Gdy powali ich przemoc i miecz nieprzyjaciół zawziętych,—
Ile o ciebie się trwożę, by któryś z pancernych Achajów
Gorzko płaczącej nie porwał cię, dniom twej wolności kres kładąc.
Wówczas być w Argos musiała dla obcej pani tkać szaty,
Wodę nosić z krynicy Messejskiej czy Hyperejskiej,
Ciężko stękając; nad tobą zawisłaby twarda konieczność.
Wówczas może ktoś rzeknie, ujrzawszy cię łzami zalaną:
Oto małżonka Hektora, co w czasie wojny o Ilion
Przewag największych dokonał pośród trojańskich rycerzy.
Tak może kiedyś ktoś powie — a tobie się serce zakrwawi,
Że nie ma tego męża, co mógłby cię wyrwać z niewoli.
O, niechaj ziemia mogilna wysoko przykryje me ciało,
Zanim bym jęk twój usłyszał, gdy będziesz wleczona przez wrogów."

Rzekłszy to Hektor przesławny, ku dziecku wyciągnął ramiona.
Ale synek do łona piastunki o pięknej przepasce
Z płaczem przytulił się — tak się przeraził widoku rodzica,
Spiżu jego szyszaka i kity z końskiego włosienia,
Spływającej faliście z wierzchołka hełmu groźnego.
Zaśmiał się miły ojciec, zaśmiała się macierz czcigodna.
Zaraz też sięgnął po szyszak i zdjął go z głowy cny Hektor
I na ziemi go złożył, a hełm zajaśniał złociście.
Wziął syneczka na ręce, utulił, całował, kołysał,
Taką zanosząc modlitwę do Zeusa i innych Olimpian:

„Zeusie i inni niebianie, o dajcie, żeby to dziecię
Było kiedyś, jak ja, najpierwszym z trojańskich rycerzy,
By dorównując mi siłą, potężnie władało Ilionem.
Oby kiedyś ktoś rzekł, ujrzawszy, jak z boju on wraca:
Ten oto ojca przewyższył. A on zbroicę po wrogu,
Krwią zbroczoną, przynosząc, ucieszy serce matczyne."

Tak powiedziawszy, ułożył w ramionach miłej małżonki
Swoje dzieciątko. A ta na wonne przyjęła je łono,
Uśmiechnięta przez łzy. Więc litość zdjęła Hektora,
Czule ją więc pogładziwszy, w te słowa się ozwał skrzydlate:

„Moja niebogo, niech smutek nie nęka tak srogo twej duszy,
Nikt bowiem wbrew przeznaczeniu nie zstąpi w głębie Hadesu.
Żaden śmiertelnik od chwili, gdy przyszedł na świat, nie uniknie
Losu swego na ziemi, czy złym by był czy szlachetnym.
Powróć tedy do domu i swym zajęciom się oddaj,
Krosnom i kądzieli; a dworkom przykaż, by zaraz
Do roboty się brały. Bo mężów sprawą jest wojna,
Tych, co się w Troi rodzili — a jam z nich wszystkich najpierwszy."

Tak powiedziawszy, przesławny Hektor szyszak nałożył
Zdobny w kitę z końskiego włosienia. Małżonka zaś miła
Poszła do domu, co krok patrząc wstecz i płacząc gorąco.
Wkrótce potem przybyła do wrót ludnego pałacu
Mężobójcy Hektora i tam zastała swe dworki.
Wszystkie, ją zobaczywszy, wraz głośno jęły zawodzić,
Opłakując Hektora, choć żył jeszcze, w jego domostwie.
Nie wierzyły już bowiem, by cało z bitwy powrócił,
Uniknąwszy szczęśliwie straszliwych ciosów Achajów.

Przełożył z greckiego IGNACY WIENIEWSKI

*) tj. „Grodowładcą".

PRZYPIS TŁUMACZA

W przekładzie moim zastosowałem wiersz heksametryczny, ten sam, który występuje u Homera, przy czym zastąpiłem oczywiście iloczas akcentem, zgodnie z naturą języka polskiego. W paru jedynie wierszach pozwoliłem sobie na drobną licencję w postaci „anakruzy" czyli odbitki, która polega na rozpoczynaniu wiersza od zgłoski nieakcentowanej, co jednak nie zmienia zasadniczego rytmu wiersza. Użyłem heksametru w głębokim przekonaniu, że tłumaczyć Homera prozą lub wierszem nowoczesnym — to pozbawiać jego poezję jej najistotniejszej cechy muzycznej. Homer przestałby być Homerem, a przekład byłby niewierny, gdyż ignorowałby znamienną rytmikę oryginału.

Idąc śladem Homera, który wyraźnie archaizuje m.in. w dziedzinie swego języka, dałem polszczyźnie przekładu lekką patynę archaiczną. Wystrzegałem się jednak pilnie wyrażeń archaicznych typu ludowego, by nie nadać „Iliadzie" znamion poezji ludowej, z którą nie ma ona nic wspólnego. Natomiast starałem się wydobyć dworski charakter epopei Homera, a przez to zapewnić przekładowi wierność nie tylko zewnętrzną, tłumaczeniową, ale i wewnętrzną.

I. W.

ZYGMUNT TURKIEWICZ

REMBRANDT

„Mamy skłonność do myślenia i odczuwania w kategoriach sztuki, jaką lubimy. Jeżeli sztuka, jaką lubimy jest zła, wtedy nasze myślenie i odczuwanie jest złe. A jeżeli myślenie i odczuwanie jednostek składających się na społeczeństwo jest złe, czy takie społeczeństwo nie jest zagrożone?"

Aldous Huxley



AUTOPORTRET

Przeszło trzy miesiące trwała wystawa obrazów szkoły holenderskiej w londyńskiej Royal Academy of Arts. Przez cały czas trwania wystawy sale wystawowe zapchane były tłumami zwiedzających.

Na każdej „dobrej" wystawie sztuki w londyńskich galeriach panuje tłok, lecz ta impreza była wyjątkowo udana. 60 prac Rembrandta, pochodzących przeważnie ze zbiorów prywatnych, musiało wzbudzić zainteresowanie każdego. „Rembrandtów" nikt nie wyszukiwał przy pomocy katalogu. Malarstwo jego, tak odrębne od reszty obrazów szkoły holenderskiej, rzucało się w oczy od razu.

Aby lepiej zrozumieć odrębność sztuki Rembrandta od współczesnych mu Holendrów, spróbujmy poznać elementarne zasady programu szkoły holenderskiej.

* * *

Są epoki, w których piękno kwitnie swobodniej, są klimaty, które bardziej sprzyjają rozwojowi sztuki. Wiek XVII, w którym powstaje i szybko wzrasta szkoła holenderska, niewątpliwie należy zaliczyć do szczęśliwych dla malarstwa.

„Holandia — pisze Eug. Fromentin — nie posiadała przed tym nigdy wielu malarzy narodowych. Jak długo była złączona z Flandrią, ta ostatnia brała na siebie obowiązek myślenia, tworzenia koncepcji i malowania za nią. W tym samym czasie, w tych samych okolicznościach widzimy, jak powstają dwa fakty równoległe, bardzo z sobą zgodne: **nowe państwo i nowa sztuka.**

Holandia była w tym czasie narodem mieszczan, praktycznym, bez śladu marzycielstwa, bardzo pracowitym, bynajmniej nie nastrojonym mistycznie, antyłacińskim, z tradycją zerwaną, o kulcie bezobrazowym, przyzwyczajonym do oszczędności. Znaleźć sztukę, która by się podobała takiemu narodowi — to był problem. Pewien pisarz naszych czasów, biegły w tej materii, świetnie na to odpowiedział, że podobny naród mógł pozostawić tylko jedną rzecz, bardzo prostą i bardzo śmiałą, jedyną zresztą, która od pięćdziesięciu lat stale mu się udawała: żądać, by go portretowano.

Malarstwo holenderskie zorientowało się w tym szybko, nie było i nie mogło być niczym innym, jak tylko portretem Holandii, jej wizerunkiem zewnętrznym, wiernym i dokładnym, kompletnym, podobnym, bez żadnego upiększenia. Portretem ludzi i miejscowości, obyczajów mieszczańskich, placów, ulic, wsi, morza i nieba. Takim miał być, sprowadzony do swych zasad elementarnych program, jaki spełniała szkoła holenderska i takim był od pierwszego dnia aż do jej upadku."

Wydawać by się mogło, że malarstwo takie to nic nadzwyczajnego, całkiem przyziemny ideał, lecz w skutkach wszystko zostało odmienione: sposób pojmowania, patrzenia i wyrażania. Wybór przedmiotu studiów, styl i metoda zostały zastąpione gruntownie. Trzeba pamiętać, że w tym czasie sztuka włoska ciągle jeszcze dominowała wszędzie. Był więc zwyczaj myślenia wzniosłego i wielkiego. Sztuka ta polegała na wyborze rzeczy, na ich upiększaniu.

Historii, fantazji, wierzeniom, dogmatom, mitom przeciwstawiono w Holandii zadanie prostsze. Chodzić będzie teraz o to, aby dać każdej rzeczy jej właściwe znaczenie. Słowem nadszedł czas, kiedy trzeba będzie przyglądać się rzeczom dokładniej, obserwować lepiej, a malować równie dobrze, jak w Odrodzeniu, lecz inaczej.

Malarstwo to przeznaczone było dla człowieka prostego, dla kupców i rzemieślników i robione było całkowicie według nich. Malarze stali się skromni wobec rzeczy skromnych, mali wobec rzeczy małych. Starali się wejść w przyjazną zażyłość z rzeczami pospolitymi, codziennymi, wnikając serdecznie w ich byt. Raz będzie to sprawa uważnej ciekawości, to znów sympatii i cierpliwości.

Mistrzowie holenderscy pragną zaspokoić wszystkie skłonności. Znajdujemy więc rzeczy stworzone dla ludzi grubo ciosanych, jak i delikatnych, dla melancholików, dla pełnych temperamentu, dla tych, co lubią się śmiać, jak też i dla marzycieli.

Znajdujemy w tym malarstwie pejzaże pochmurne i słoneczne, morza gładkie i wzburzone, sceny łajdackie, obyczaje dobre i wytworne, nędzne życie biedoty, próżniactwo po szynkach, a z drugiej strony dobrodziejstwo pracy, obfitość pól urodzajnych, słodycz odpoczynku. Dodajmy do tego sceny z życia publicznego, bankiety obywatelskie, a otrzymamy elementy tej nowej szkoły.

Mamy malarzy o różnych temperamentach i usposobieniach od Brouwera i Ostade'a aż do Ruysdaela, jednych pociąga komedia ludzka, drugich natura. Wszyscy z tej bogatej galerii malarzy holenderskich, od niewzruszonego Pawła Pottera, szyderczego Jana Steena, rozbawionego Fransa Halsa, do bystrego Van de Velde mieszczą się w ramach tej szkoły.

Wśród bogatej galerii charakterów malarskich szkoły holenderskiej jest jeden, który aczkolwiek nie był na uboczu, nie pasuje do reszty. Osobowością swoją przerasta wszystkich. Na pozór jak inni malował on swoją epokę, swój kraj, swych rodaków, ale obrazy jego, umieszczone obok obrazów jego kolegów malarzy, działają inaczej, głębiej, poważniej — wzruszają zarówno swoją materią malarską, jak i treścią. Emanują niesamowitą atmosferą, płynącą jak gdyby wprost z nieznanego zakątka duszy ludzkiej.

Mam na myśli Rembrandta.

* * *

Malarstwo Rembrandta jest dzisiaj, w ustach przeciwników sztuki nowoczesnej, niezawodnym argumentem, mającym zdruzgotać śmiałków próbujących nowych odkryć z dziedziny twórczej.

Chciałbym wiedzieć, co z obrazów Rembrandta dociera do świadomości tych „wielbicieli" wielkiego Holendra?

Obawiam się, że tak zwane „rozumienie" sztuki Rembrandta sprowadzają oni do rozpoznawania malowanego tematu, zadowoleni, że zdołali odczytać „o co chodzi", a pozostają nieczuli na te wszystkie elementy wielkiej sztuki Rembrandta, które w jego epoce uchodziły co najmniej za tak rewolucyjne, za jakie w naszych czasach uchodzą elementy sztuki Picassa.

Zestawienie tych właśnie malarzy o tyle jest niewłaściwe, że twórczość każdego z nich należałoby rozpatrywać na dwu różnych płaszczyznach.

Faktem jest, że po katastrofie 1641 roku, której niezawinionym bohaterem stał się kapitan Banning Cocq, popularność Rembrandta zmalała i im bardziej mistrz pogłębiał swą sztukę, im potężniejsza jest jego wizja malarska — tym bardziej pogłębia się konflikt z burżuazyjnym środowiskiem.

W ojczyźnie Rembrandta szybko zapomniano jego imię.

150 długich lat upłynęło od śmierci van Rijna, zanim go odkryto na nowo, gdy wydobyto jego obrazy, pokryte grubą warstwą pyłu, ze strychów i składzików z rupieciami, witając je z entuzjazmem, jako dzieła jednego z największych geniuszów malarskich.

Malarstwo Rembrandta nie jest takie proste, jak byśmy sądzili, zapoznając się z jego dziełem z okazji wystawianych tu i ówdzie jego obrazów, które oglądamy pośpiesznie, w kilku godzinach, wolnych od trudu naszych zajęć codziennych.

Jakże daleka jest sztuka Rembrandta, w ostatnim ćwierćwieczu jego życia, od otaczającego go kręgu sztuki holenderskiej! Istnienie jego i jego sztuki zakłóca nam ów zachwycający obraz Holandii, stający zawsze przed oczyma na widok przeciętnego holenderskiego płótna.

Płaski, oddychający spokojnie w słońcu krajobraz, pocięty kanałami i śluzami, pogodne drogi, biegnące skrajem zagajników, leniwe chmury, odbijające się ciężko w cichych taflach wodnych; uśmiechnięte, bądź nieruchome portrety, pełne witalnej siły — przede wszystkim zaś wnętrze domu, przez którego okna miękko jak piasek sypie się słońce, porozstawiane są miłośnie bukiety i naczynia, snują się urocze młode kobiety o przybladłej karnacji, mieniącej się przelewami glazury z Delft, doręczane są tajemnicze listy, mienią się atłasy i srebra.

Tematyka Rembrandta jest zupełnie inna. Maluje on sceny z Biblii — to jest jego świat, w którym żyje i czuje się dobrze jako malarz.

Dwie są przyczyny, które skłaniały Rembrandta do czerpania tematów z Pisma Świętego. Pierwsza wywodzi się zapewne z czasów wczesnej młodości Harmenszoona, kiedy to słuchał chętnie ciekawych opowieści biblijnych, które czytywała mu matka. Mieliśmy możność oglądania na tej wystawie obrazu, który przedstawiał starą kobietę w okularach, pogrążoną w czytaniu olbrzymich kart Biblii. Obraz malowany i z wielką siłą i subtelnością jednocześnie. Zwłaszcza partie twarzy i rąk matki artysty oddane są z tkliwą miłością synowską.

Przyczyna druga jest głębsza. Rembrandta porywa urok tradycji rodzinnej, proste prawo miłości rodziny i domu.

Rembrandt przeżył osobiście tragedię ruiny domowego ogniska, które był zbudował u progu swojej kariery i tym bliższy był mu ten temat. Będąc świadkiem rozkładu patriarchalnych stosunków domowych, chciał jak gdyby pokazać dawne lepsze czasy historii narodu wybranego. Patrząc na jego obrazy, na których Izaak błogosławi Jakuba, Jakub swe wnuki, Dawid Salomona — czujemy się świadkami najgłębszego aktu wiary starzejącego się mistrza, wiary w świętość instytucji rodzinnej. Sceny biblijne Rembrandta, a raczej sceny rodzinne widziane poprzez Biblię, wołają o powrót do tej czystości stosunków, których ideał widział w opowieściach Starego Zakonu.

Rembrandt nigdy nie wyjeżdżał za granice swego kraju rodzinnego, niemniej znał wszystkie wielkie osiągnięcia plastyki, gdziekolwiek i kiedykolwiek by one powstały. W swoim domu przy ulicy Breetstrad w Amsterdamie, położonym nieopodal śluzy św. Antoniego, nagromadził dzieła epok minionych i doby współczesnej. Z inwentarza sporządzonego w 1656 r. z okazji licytacji tego domu, dowiadujemy się, że w kolekcji Rembrandta znajdowały się rzeźby antyczne, malarstwo włoskie Odrodzenia i pierwszych barokistów, zbiory doskonałej grafiki niemieckiej, jak również dzieła van Eycka i Claussa Slutera. Poza tym w domu jego, jak w muzeum, pełno było spłowiałych, złotem przetykanych tkanin, egzotycznych strojów i przybrań dziwacznych, fragmentów zbrój i przeróżnych kolorowych drobiazgów, korali, muszli.

Ideałem malarstwa szkoły holenderskiej było naśladować to, co istnieje i wzbudzić miłość do tego, co się naśladuje. Obowiązkiem malarza jest być przystępnym, naturalnym i wyraźnym. Podstawą tego stylu szczerego jest umiejętność rysowania. Każdy holenderski malarz, który nie rysował bez zarzutu, był godny pogardy.

Ścisłość perspektywy powietrznej i linearnej, dokładny związek koloru i waloru z planem, jaki zajmuje malowany przedmiot, służyły malarzom szkoły holenderskiej jako środki prowadzące do wywołania złudzenia rzeczywistości. Wszystkie te elementy nie są obce Rembrandtowi, ale kto dobrze przestudiował jego malarstwo, ten musiał dojść do wniosku, że nie jest to malarstwo złudzeniowe. Rembrandt nie maluje tego, co może dostrzec każdy obserwator-analityk, lecz maluje to, co dostrzega człowiek wzburzony i tylko to, co chce, aby widz zobaczył. Tym różni się od swoich kolegów i tym najbardziej naraził się swoim burżuazyjnym klientom, którzy chcieli widzieć siebie na obrazach Rembrandta w ten sposób, w jaki oglądali się sami w swoich zwierciadłach.

Rembrandt konsekwentnie nasyca cieniami płaszczyznę swych płócien, wydobywając z mroku tylko te elementy, na których bezwzględnie musi się zatrzymać wejrzenie widza. W ten sposób staje się zrozumiałą tajemnica mroku palety Rembrandta. Współcześni dopatrywali się w tej metodzie maskowania niedokładności anatomicznej (tak, jak dzisiaj o świadomej deformacji Picassa mówi się, że pokrywa on nią swoje „nieuctwo rysunkowe").

Rembrandt świadom był możliwości budowy nowego, wielkiego stylu. Raz wstąpiwszy na drogę wielkiego malarstwa, nie schodzi z niej nigdy, pomimo nęcących obstalunków i serdecznych rad przyjaciół, którzy pragnęli widzieć go raczej z pełnym trzosem, niż tworzącego dzieła, które miały zasłużyć na miano najwznioślejszego realizmu świata.

Realizm Rembrandta jest specyficzny, polega na prawdzie zjawisk, nie zaś na imitacji przedmiotów. Kiedy np. maluje on akt kobiecy — nie szuka jakiejś sławnej piękności, lecz bierze za model pierwszą lepszą praczkę lub kobietę ze wsi, których kształt materialny i obiektywną opisowość zatraca na rzecz wrażenia, jakiego doznaje w świetle wibracji kształtu. Lubi posługiwać się zgaszoną gamą barw. Operuje tonami złota, czerwieni, szafranu, ugrów i czerni. Magiczny pędzel mistrza z Leydy potrafi zamienić nędzne odzienie żebraka w złoto królewskiego brokatu, a brud zapylonych nędznych wnętrz — obdarza poświatą jarzącego się bursztynu. Faktura jego obrazów jest przebogata. Farba położona grubo, miejscami tworzy wydatne reliefy i załomy, niektóre partie jego obrazów wyglądają jak niewykończone, gdzie indziej farba wygląda jak wtarta w płótno palcem.



JEŹDZIEC POLSKI (Lisowczyk)

Współcześni Rembrandtowi malarze i „krytycy" mieli dużo kłopotu z tą nową fakturą. Niektórzy tłumaczyli grubość farby na płótnie wynikiem długiego malowania i nakładania warstw farby jednej na drugą. Inni, dowcipniejsi, twierdzili, że Rembrandt specjalnie nakłada grubo kolor, aby patrzono na jego obrazy z pewnej odległości, bo z bliska farba w takiej ilości pachniała raczej niemiło.

Jak każdy wielki malarz, Rembrandt długo przygotowywał się do każdego nowego obrazu. Studiował długo i uważnie modele, pozę, ubranie; nieraz dwa dni układał kapelusz na głowie pięknej pani, którą miał portretować. Robił liczne szkice tej samej figury z różnych miejsc. Znajdujemy nieraz 10 i więcej szkiców do tego samego tematu.

Rembrandt rysował bardzo dużo i uprawiał techniki graficzne. Wystawa jego rysunków i grafik, którą ciągle jeszcze można oglądać w British Museum, pokazuje, jak fantastycznie rozumie on walor i używa go jako konstrukcji w swoich kompozycjach. Wynalazł jedną z odmian akwaforty. Techniki tej strzegł zazdrośnie, nie zdradzając jej nawet swoim uczniom. Technika ta, pomijając jej wysokie walory, przyniosła mu dobry dochód, ponieważ po odbiciu i rozprzedaniu kilku pierwszych odbitek, mistrz zmieniał to i owo na płycie, pogłębiał walory przez trawienie pewnych partii płyty, po czym odbijał następne, sprzedawał itd. Oczywiście, kolekcjonerzy chcieli mieć wszystkie fazy pracy i kupowali odbitki każdej nowej fazy kompozycji.

* * *

Historia życia Rembrandta Harmenszoona van Rijna jest równie niezwykła i głęboka, jak jego sztuka. Był on synem zamożnego młynarza Gerritszoona van Rijna i urodził się w 1606 r. w Leyden. Rodzice pragnęli dobrze wychować syna i starali się dać mu wykształcenie uniwersyteckie. W tym celu zapisany został Harmenszoon na uniwersytet w Leyden. Natura Rembrandta wyrywała się jednak do farb i palety. Zamiast uczęszczać na wykłady, spędzał swój czas na strychu malując ukradkiem swoje pierwsze autoportrety. Przybrany w błyszczącą blachę, jakiś fragment zbroi, patrzył na swoje odbicie w szybie, starając się namalować to ciekawe zjawisko.

Sprawa wkrótce wyszła na jaw i w rezultacie Rembrandt zamienił uniwersytet na sztalugi u miejscowego mistrza Jakuba Swanenburgha, u którego pozostawał przez trzy lata. Po upływie tego czasu udał się do Amsterdamu, gdzie studiował dalej malarstwo. Najpierw był uczniem Pietra Latsmana, który uchodził za jednego z najsławniejszych malarzy holenderskich tego czasu. Po upływie pół roku wrócił do Leyden.

Wkrótce Rembrandt wyzwolił się i zabrał do malowania portretów samodzielnie. Miał masę zamówień. W 1632 r. zamienił miasto rodzinne na Amsterdam. W Amsterdamie jego sława rośnie. W 1634 r. zasypywany jest licznymi zamówieniami portretowymi. Maluje bogatych kupców amsterdamskich i ich rodziny.

Saskie van Uylenburch poznał malując jej portret. W czasie jednego z seansów oświadczył się i w roku 1634 Saskie została jego żoną. Po zawarciu małżeństwa zamieszkał w nabytym domu w Amsterdamie, przy ulicy Breetstrad. Dom ten zapełnił dziełami sztuki i wniósł doń tę jedyną, własną atmosferę zamiłowanego domatora. Rozmiłowany w pięknych przedmiotach, nie liczył się z pieniędzmi, gdy chodziło o nabycie czegoś, co mogłoby zapłodnić jego malarską wyobraźnię.

Holenderskich zbogaconych snobów raziły te kolekcje starych znoszonych strojów wschodnich, bogatych turbanów, które rozpoznajemy w obrazach Rembrandta, jako raz owinięte wokół czoła Dawida, to znów służące jako nakrycie głów kapłanów w scenach biblijnych. W swojej własnej i uczniowskiej pracowni, urządzonej w starej szopie, nabytej specjalnie w tym celu, nagromadził skarby bogatych w kształt i kolor drobiazgów. Był to istny magazyn rekwizytów, składający się na teatr wyobraźni mistrza. Wybierał coraz to nowe, czasami te same przedmioty, które włączone do grupy figuralnej, nadawały nowy sens nie tylko ich własnemu istnieniu, lecz i samym aktorom wielkich dramatów biblijnych. W tych latach Rembrandt stoi u szczytu powodzenia. Przed pracownią jego stoją długie kolejki cierpliwych klientów, ma dużo zamówień i licznych uczniów, którzy ubóstwiają go i płacą mu dobrze za lekcje.

Rembrandt lubiał życie wystawne. Urządzał przyjęcia, bankiety. Dom jego stał się popularny, a on sam należał do osobistości Amsterdamu. Lecz lata czterdzieste przynoszą w karierze Rembrandta raptowny zwrot.

Zaczęło się od zbiorowego portretu szesnastu młodych panów, śmietanki amsterdamskiej. Rembrandt, którego talent dojrzał już dostatecznie, potraktował młodzieńców jako pretekst do wspaniałej kompozycji, znanej dzisiaj pod nazwą „Ront nocny". Obraz jest wspaniały, ale bohaterzy zbiorowego portretu są rozczarowani, nie mogą siebie rozpoznać, poza tym ze zgrozą stwierdzają, że znaleźli się w towarzystwie jakichś karłowatych postaci bardzo kolorowo ubranych, postaci, które zdaniem odbierających zamówienie, nie powinny się były znaleźć w ich zbiorowym portrecie.

Ten historyczny obraz powstaje w roku 1641. W rok później umiera Saskie, ukochana żona Rembrandta. Był to cios o wiele cięższy dla mistrza, niż stopniowy zanik popularności. Długo nie mógł odzyskać utraconej równowagi duchowej. Po tej wielkiej stracie szukał zapomnienia w ciężkiej pracy fizycznej, dźwigając wory ziarna w młynie swojego ojca. Wróciwszy do swojej amsterdamskiej siedziby, starał się malować, ale tak wrażliwy artysta, jakim był Rembrandt, nie mógł nie zostawić śladów swoich ciężkich przeżyć w swoich płótnach. Nie podobało się to mieszczańskim gustom kupców. Jego szeroka natura i gest nie liczą się z nadwątloną już bardzo kasą. Wydaje pieniądze szczodrze na prawo i lewo.

W końcu pieniędzy zabrakło, mistrz zaczął pożyczać, zadłużył się i w roku 1656 doszło do katastrofy. Jego wspaniały dom ze wszystkimi cennymi zbiorami, tak starannie dobieranymi, został zlicytowany. Ta licytacja dla Rembrandta znaczyła coś więcej, niż dla innego obywatela holenderskiego. Znał on swoją wielkość, swoje obrazy i grafiki cenił bardzo wysoko i sprzedawał drogo. Gdy dowiedział się, że na jakiejś licytacji znajdują się jego obrazy wystawione na sprzedaż, podstawiał swoich ludzi, by specjalnie podbijali ceny. Nie chciał dopuścić, aby za Rembrandta — nawet przypadkiem — zapłacono tanio. W ten sposób często sam wykupywał własne obrazy po cenach bardzo wysokich.

Życie jednak nie oszczędziło mu goryczy. Na jego oczach sprzedawano za bezcen drogą licytacji jego dzieła, jego dom, wszystkie skarby nagromadzone przez lata i najdroższe pamiątki po Saskie.

Starzejący się już Rembrandt musiał na nowo zorganizować swoje życie i pracę. Biedny już teraz, przeniósł się do nędznego mieszkania w żydowskiej dzielnicy Amsterdamu.

Przy pomocy Hendryckje Stoffels, drugiej jego żony, starał się odbudować ciepło domowego ogniska, za którym tęsknił. Współczesne kroniki zapisały, że ten okres życia Rembrandta pod względem materialnym przedstawiał się bardzo skromnie. Nie widywano go w zajazdach, nie urządzał wystawnych przyjęć. Hendryckje Stoffels, chłopka z pochodzenia, przyrządzała mu jadło z chleba, sera i marynowanych śledzi. Przesadą jednak jest twierdzenie, że w tym czasie Rembrandt żył w skrajnej nędzy, jak głoszą niektórzy. Miał dalej liczne grono uczniów, z których każdy płacił mu 100 florenów rocznie, z wyjątkiem Sandraerta, którego obowiązywał osobisty kontrakt 250 florenów rocznie. Poza tym Hendryckje wraz z synem Rembrandta Tytusem po dobrej cenie sprzedawała obrazy i grafiki van Rijna.

Stary Rembrandt mądry, pobłażliwy, ciężko doświadczony, nie przejmował się marnościami tego świata. Zagłębiony w swym świecie malarstwa, nie reagował nawet na wybryki swoich młodych uczniów, którzy znając słabość mistrza do pieniędzy, często malowali monety na podłodze lub fotelu i cieszyli się, gdy udało im się zaobserwować Rembrandta usiłującego podnieść namalowaną złotą monetę.

Z obrazów Rembrandta, zwłaszcza z jego licznych autoportretów, malowanych regularnie każdego roku po jednym lub po dwa, z łatwością możemy odczytać jego ludzką historię: widzimy najpierw młodzieńczy entuzjazm, który poniósł go piechotą z Leyden do Hagi, gdzie spodziewał się sprzedać swoje pierwsze prace, a skąd wracał powozem, po udanej tranzakcji, później zadowolenie z siebie wziętego artysty, szczęśliwego małżonka Saskie, następnie doświadczonego głęboko człowieka, który przeżywszy dwie trzecie swego życia, traci wszystko: szczęście osobiste, majątek, powodzenie malarza. Wreszcie widzimy cichego, mądrego filozofa i w końcu zwycięskiego wolnego człowieka.

Reprodukowany obok portret Rembrandta, namalowany około roku 1663, to jest na pięć lat przed śmiercią, pochodzący z kolekcji Carstanien, wyraża triumf człowieka, który zdołał się wyzwolić od słabostek i próżnych namiętności, właściwych naturze ludzkiej.

Rembrandt umarł w roku 1669. Jego sztuka należy do rzadkich zjawisk w historii malarstwa: wzrusza i przejmuje bez względu na czas i miejsce i niezależnie od panujących teorii i obowiązującej mody, bo wypływa z najgłębszych odczuć jego duszy.

Zygmunt Turkiewicz

MIECZYSŁAW LURCZYŃSKI

Wiosna w mieście

W ulice niemal puste bije upał słońcem,
Prostując liściom młodym pomarszczoną zieleń,
W saganach nieba kipi wciąż kobalt gorący,
Skrapiając wiosny ranek w czerwcową niedzielę.

Gałęźmi brzóz białymi ustrojono bramy
W których cień jest jak wino dojrzały i chłodny,
Płyną nim w suknie letnie obleczone panny,
A obok nich z mandolin płynie walc pogodny.

Posnęły w klatkach żółte kanarki do szczętu
I pelargoniom zwolna czerwienieją kwiaty,
Gdy patrzą w dół — w podwórze — z doniczkowych rzędów:

Tam dzieciom, już przybranym do pierwszej Komunii
W czarne ubranka sztywne i w sukienek batyst,
Rozwiązywaniem kokard wiatr psotny się trudni.

Mieczysław Lurczyński

DOKTRYNA POLITYCZNA ŚW. TOMASZA

(Dokończenie ze str. 2)

nie, są nierówni w uzdolnieniach. Są jednostki, które do tego specjalnie się nadają — są do tego najlepsze. I tych lud winien wybrać. Jeśli, kierując się afektem, ludzie wybiorą osoby nieodpowiednie, sami to odcierpią. Mamy zatem już dwa elementy rządu: demokrację, bo wybiera lud i spośród ludu i dla ludu; i arystokrację, bo rządzić mają najlepsi spośród ludu, najlepsi w znaczeniu kompetencji. Ale na tym Tomasz nie kończy. Szeroko dowodzi, że faktyczne kierownictwo państwem winno być w ręku jednostki, a argumenty, jakimi tę zasadę udowadnia, dałyby się sprowadzić do prostego przysłowia polskiego: „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść". Wszakże król w pojęciu św. Tomasza, to nie koniecznie król dziedziczny, koronowany etc; może być i tak, jeśli tak naród zechce, ale w istocie najlepiej chyba interpretuje konstytucyjną myśl tomaszową konstytucja Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej: efektywna egzekutywa w ramach prawa i na mocy prawa. Sprzeczna z jego myślą i politycznym realizmem byłaby konstytucja, w której władza wykonawcza jest bezsilna, w której kierownicy państwa zmieniają się co chwila. Konstytucja, która uprawnia taki system byłaby w pojęciu tomaszowym bezprawiem, bo faworyzowałaby chaos i byłaby sprzeczna z bonum commune.

Zastanówmy się nad tomaszowym stosunkiem naczelnika państwa i prawa. Całe średniowiecze kierowało się zasadą, że prawo jest w swym powstaniu równoległe z państwem i jest w swym istnieniu niezależne od państwa. Angielski prawnik Bracton wypowiedział to jędrnie: **Lex facit regem,** to znaczy, że prawo czyni króla a nie odwrotnie. I tak długo król jest królem, jak długo postępuje z prawem i według prawa. A prawo to jest złożone w ludzie jako całości, ludzie zorganizowanym jurydycznie, w narodzie, w społeczeństwie, w jego sumieniach, w jego rozumie. W narodzie jako całości, to znaczy nie w indywidualnych głowach, bo wtedy sprawdzi się zasada „quod capita tot sententiae", powstaje „złota wolność", „liberum veto" jednostki lub partii, ale w narodzie jako moralnej, coś jakby mistycznej, całości, która czuje co powinno być. Dopiero zapanowanie prawa rzymskiego zburzyło rodzimy obyczaj jako źródło prawa i jako punkt wyjścia prawa. Prawo rzymskie w to miejsce wniosło koncepcję prawa jako produktu świadomego aktu prawodawczego, płynącego z woli prawodawcy jako ze źródła głównego i najwyższego, a nie z rozumu społeczeństwa. Stworzyło to podstawę do pojęcia prawodawczej suwerenności, opłakiwanej przez wielu jako „damnosa hereditas" prawa rzymskiego. Albowiem jeśli prawo pochodzi z woli prawodawcy, tedy staje się rzeczą oczywistą, że wola jego jest ponad prawem. I jeśli, jak to stwierdzają **Digesta,** władza prawodawcza została przekazana przez lud, jej oryginalnego posiadacza, na władcę, na rząd, tedy tenże jest władcą absolutnym. Przez co państwo staje się władcą absolutnym w znaczeniu, powiedzmy, absolutnym, oderwanym od reszty świata. Każdy rozumie jakie to ma znaczenie w stosunkach międzynarodowych.

Św. Tomasz doskonale rozumiał ten problem i dokładnie rozważa dwie sławne zasady prawa rzymskiego: quod principi placuit legis habet vigorem i princeps legibus solutus (1-290, a. 1; 96, a. 5) i wykazuje przy tym, jak dobrze rozumie prawniczą myśl rzymską. Według jego myśli prawodawca, czy nim będzie król czy całe społeczeństwo, jest ponad prawem w tym znaczeniu, że od niego pochodzi prawo przezeń wydane; od „potestas publica" bowiem prawo pozytywne nabiera siły obowiązującej i zmuszającej do zachowania go. I tu św. Tomasz robi subtelne rozróżnienie: prawodawca jest „legibus solutus" w znaczeniu, że sam siebie nie może przymusić prawem przez siebie wydanym do jego zachowania drogą uwięzienia się lub w ogóle kary, jednakże jest zobowiązany nim kierować się i zachować je. W pierwszym wypadku suwerenność jest wyraźnie podkreślona, w drugim zaś wyrażona jest zasada, że wola prawodawcy ma moc prawa tylko pod warunkiem jeśli i o ile wola ta jest „ratione regulata". Ta „voluntas principis", ale zgodna z „regula rationis" jest wyrazem naturalnego porządku sprawiedliwości ograniczającej suwerenność poszczególnego państwa. Suwerenność jest koniecznym atrybutem władzy naczelnej w państwie, jednakże św. Tomasz, przyznając ją, równocześnie podaje prawne jej ograniczenia. W dziedzinie prawa międzynarodowego traktuje rzecz wyraźnie, gdy mówi o warunkach wojny słusznej. W polityce wewnętrznej suwerenność ogranicza prawem konstytucyjnym. W dwa wieki później Sir John Fortescue, broniąc monarchii ograniczonej jako tradycyjnej i najlepszej konstytucji, powołuje się na św. Tomasza. Zaś zasady tomaszowe o ograniczeniu suwerenności na terenie międzynarodowym rozszerzył dopiero nasz Włodkowic w sposób istotnie klasyczny, choć, jak dotąd, żaden z polskich nawet uczonych tego nie dostrzegł.

W końcu ostatnia uwaga, będąca wnioskiem z powyższego. Chodzi mianowicie o sprawę lojalności i oporu wobec władzy. Lojalność, jak łatwo wywnioskować można z tego, co powiedziano, nie jest bezwarunkowa. Jest ona określona bardzo dokładnie najpierw samą naturą władzy politycznej, która to władza jest tylko środkiem do osiągnięcia dobra pospolitego, oraz przez fundamentalne prawo konstytucyjne, określające kompetencje naczelnika w ciele politycznym, w państwie. Aby rząd miał prawo do lojalności, musi być rządem prawowitym. Rząd de facto nie jest rządem. Po pierwsze, rząd musi dojść do władzy drogą prawowitą. Kto doszedł do władzy drogą gwałtu, władzy nie ma (Scriptum Super Libros Sententiarum II, dist. 44, q. II, a. 2). Lud jednak może zgodzić się na rząd już po akcie gwałtu. Po drugie, rząd może nadużyć swej władzy przez prawo lub praktykę sprzeczną z celem, dla którego istnieje, to jest, by być wychowawcą i opiekunem cnoty, a nie psującym. Pamiętać tu należy, że słowa te były napisane w dwa lata po kanonizacji św. Stanisława (1255). W ogóle lojalność wobec rządu jest warunkowana prawowitym sprawowaniem władzy. Jeśli zaś jest sprzeczna z prawem narodu, pisanym lub nie, jeśli jest sprzeczna z fundamentalnymi zasadami sprawiedliwości naturalnej, słuchana być nie może i nieposłuszeństwo za zdradę poczytanym być nie może. Albowiem żadna władza nie może występować przeciw prawu naturalnemu. Tutaj chcę dodać uwagę, że mylą się niektórzy pisarze (n.p. A. P. D'Antrevés, w przedmowie do Aquinas Selected Political Writings, Oxford, Basil Blackwell, 1948, str. **XXXI**) pisząc, że św. Tomasz nie zna naturalnych praw człowieka. Jak z powyższego wynika, zna je dobrze i na nich to bazuje swą doktrynę o lojalności i oporze. Choć, musimy przyznać, że to nie prawo jednostki ludzkiej, lecz jej obowiązek wobec wyższego prawa jest źródłem tomaszowego stanowiska, bo, jakby powiedziała Ewangelia, bardziej trzeba słuchać Boga niż ludzi. Człowiek jest wolny, to prawda, ale nie ma prawa źle użyć swych myśli, słów, swego ciała, majątku. Wolność leży tylko w sferze dobrego użycia. Państwo ma prawo regulować wszystko, co zagraża dobru całości, a więc ograniczyć wolność obywatelską, jeśli jest nadużyta.

Ks. Stanisław Bełch

N O T A T K I

CLAUDEL W HAMBURGU. W Teatrze Wielkim w Hamburgu wystawiona została sztuka Paul Claudela „Tobie et Sarah". Sztuka — jak podaje prasa francuska — przyjęta została przez publiczność entuzjastycznie. Po zakończeniu przedstawienia widzowie poczęli okrzykami wywoływać sędziwego autora, który znajdował się na sali w towarzystwie żony, syna, Wysokiego Komisarza Francji François-Ponceta, konsula francuskiego barona de Nerciat i socjalistycznego burmistrza Hamburga, Oskara Brauera. Claudel istotnie wszedł na scenę i wygłosił do publiczności przemówienie.

Donosząc o tym „Figaro Littéraire" przypomina, że ostatnie wspomnienia, które Claudel wyniósł poprzednio z Hamburga, datują się z dnia 2 sierpnia 1914 r., kiedy jako ówczesny konsul generalny musiał opuszczać miasto wśród dokuczliwych szykan i wrogich okrzyków. Podobny zresztą los spotkał wtedy samego ambasadora Francji, Jules Cambona.

Do tych właśnie wspomnień Claudel — blady i wzruszony, jak referuje tygodnik paryski — nawiązał swe przemówienie. Mówił o urokach Hamburga, po czym zakończył następującymi słowami, skandując je silnym głosem:

„Jestem starcem liczącym 85 lat... Widziałem trzy wojny i serce mi staje na myśl o nowej wojnie... Narody mogą dojść między sobą do porozumienia... Góry istnieją, to pewne, ale góry zostały stworzone po to, by się na nie wspinać."

Wśród okrzyków „Hoch" Claudel wyjął następnie z kieszeni rękopis swego wiersza „Chant de l'Espèrance" i odczytał go z patosem. „Jak podają nam świadkowie, — kończy swą relację „Figaro Littéraire" — publiczność była poruszona do głębi i po wielu twarzach spływały łzy."

Dobrze, jeśli tak było istotnie. Obawiać się jednak należy, że owe łzy były wyrazem uczuć bardzo drobnego tylko odłamu społeczeństwa niemieckiego. Francuzi doskonale sobie zdają sprawę z tego i stąd wynika ich negatywny stosunek do planowanego uzbrojenia Niemiec.

DRZEWA OFIARĄ SAMOCHODÓW

Na łamach prasy podniosły się protesty przeciw projektowi, opracowanemu przez komisję Ministerstwa Transportu, a przewidującemu wycięcie drzew na czterech historycznych placach Londynu (m.i. St. James's Square i Berkeley Square), by można było po środku tych placów zbudować podziemne garaże.

Projektodawcy podkreślają, że owe osiemnastowieczne place projektowane były jako przestrzenie otwarte, które by pozwoliły na swobodne oglądanie architektury budynków. „Sunday Times" wyszydza ten argument, stwierdzając, że większa część pierwotnej architektury tych placów już nie istnieje i że właśnie drzewa na takim Berkeley Square czy St. James's Square pokrywają nieco brzydotę wielu fasad, później wzniesionych.

Warto przypomnieć, że przed wojną i w miastach polskich, mimo niewielkiego stosunkowo u nas ruchu samochodowego, dokonywano wielu spustoszeń, jakoby w interesie tego ruchu, przez usuwanie „niepotrzebnych" drzew, stanowiących w rzeczywistości ozdobę szarych i często brzydkich ulic i placów. W pewnych wypadkach było to uniknione, w innych jednak mieliśmy do czynienia z przejawem nowoczesnego wandalizmu.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

ULISSES I PENELOPA. Jedna z wielkich wytwórni rzymskich zamierza wkrótce odtworzyć na taśmie filmowej „Odysseję" Homera. Ma to być obraz kolorowy, wykonany wielkim nakładem środków i przy udziale najlepszych aktorów.

W związku z tym jeden z tygodników francuskich opowiada, że reżyserzy filmu pragnęliby, aby rolę Ulissesa objął znany aktor angielski Laurence Olivier. Jeden z reżyserów, p. de Laurentis udał się do Londynu, by przedstawić tę propozycję Olivierowi.

„Zgoda! — odpowiedział Olivier. — Zanim jednak udzielę panom ostatecznej odpowiedzi, stawiam warunek: chciałbym, aby Vivian Leigh była Penelopą".

„Co? — zawołał de Laurentis. — To niemożliwe, zupełnie niemożliwe! Niechże się pan dowie, że Penelopę ma grać moja żona".

WSPÓŁCZESNA LITERATURA FRANCUSKA. Czołowy brytyjski tygodnik literacki „Times Literary Supplement" poświęcił numer swój z dnia 20 marca współczesnej literaturze francuskiej.

W artykule wstępnym pt. „The Same Sky" Charles Morgan, najbardziej dziś we Francji czytany pisarz angielski, stwierdza z ubolewaniem, że mimo wysiłków takich instytucji, jak Institut Français w Londynie i ich odpowiedników po drugiej stronie Kanału, wzajemna „interpenetracja" kulturalna obu narodów od pewnego czasu bardzo osłabła.

Kilku francuskich powieściopisarzy z Duhamelem i Mauriakiem na czele jest wysoce cenionych w Anglii i mają tu licznych czytelników. Dramaturgowie francuscy spotykają się z uznaniem, a utwory ich są przedmiotem dyskusji. To samo dotyczy niektórych francuskich filozofów i pisarzy religijnych, jak Maritain i Gilson. Żaden jednak z obecnych pisarzy francuskich nie wnosi do literatury angielskiej takiego fermentu, jak to słusznie czy niesłusznie było udziałem Flauberta, Zoli, Prousta, zaś w dziedzinie malarstwa — francuskich impresjonistów. W teatrze jest podobnie: ani Sartre ani Anouilh nie działają tak „zapalnie", jak działali Jean-Jacques Bernard, Lenormand czy Jules Romains. Analogicznie przedstawia się obecna postawa Francji wobec literatury i sztuki angielskiej.

Morgan podkreśla, że nie chodzi mu o wzajemne „wpływanie" na siebie, lecz po prostu o zrozumienie Francji wśród Brytyjczyków i wzajemnie zrozumienie Anglii przez Francuzów, o rodzaj „responsive closeness" jak wśród dwóch przyjaciół, którzy przechadzają się razem pod tym samym niebem, nie usiłując nawzajem się przekonywać czy też wpływać na siebie. Mogą się oni przy tym różnić, a niebo — podkreśla Morgan — pod którym różnice takie mogą istnieć, „kończy się całkowicie na linii Odry — Nysy".

To zjawisko kurczenia się „interpenetracji" obu kultur ma, zdaniem Morgana, dwie przyczyny. Pierwszą z nich jest rosnący wpływ amerykański na kulturę brytyjską, — wpływ, jakiemu Francuzi ulegają w stopniu znacznie mniejszym. „Ulegamy przenikaniu — pisze Morgan — przez literaturę amerykańską zarówno przez to, co w niej dobre, jak przez to, co złe, przez jej energię i przez jej osobliwie germańskie zawiłości („obscurities")". Widoczne są wszędzie wpływy Jamesa, Eliota, Faulknera czy Hemingwaya.

Druga przyczyna powiększania się dystansu między kulturą brytyjską a francuską jest daty dużo starszej: działa tu różnica między francuskim idealizmem a angielskim empiryzmem. „Idealizmu" Morgan nie pojmuje tu w znaczeniu metafizycznym ani moralnym. Chodzi mu o metodę myślenia, polegającą na tym, że najpierw formułuje się ideę lub system idej, a potem dopiero wymaga się od doświadczeń, by te idee potwierdziły. Umysłowość angielska pracuje wręcz odwrotnie. Stąd wpływ na Anglię wielkich pisarzy francuskich, takich jak Stendhal, Flaubert, Baudelaire, Verlaine, Maupassant, był zawsze raczej estetyczny, niż ideologiczny.

Numer specjalny „Times Literary Supplement" zawiera nadto szereg anonimowych artykułów, poświęconych różnym działom francuskiej twórczości literackiej i atmosferze kulturalnej we Francji współczesnej.

SZKICE PROF. TAWNEYA. Pod tytułem „The Attack" ukazał się zbiór szkiców i artykułów prof. R. H. Tawneya, drukowanych w różnych czasopismach w okresie 1916 — 1950 (Allen and Unwin, cena 16 sh.). Prof. Tawney, autor słynnej książki „Religion and the Rise of Capitalism", jest już dzisiaj prawie legendarną postacią brytyjskiej Partii Pracy. Z purytańskim zapałem i zacięciem głosił zawsze ścisłą łączność socjalizmu z chrześcijaństwem. Jego bezkompromisowość w sferze zasad naraziła go na liczne starcia z kierownictwem partii, ogólnie jednak uważany jest za jednego z ojców duchowych ruchu laburzystowskiego.

KSIĄŻKA O HIMMLERZE. Szef niemieckiej Gestapo, Himmler, sprawca śmierci milionów ludzi, doczekał się swej biografii, której autorem jest Willi Frischauer (wyd. Odhams, cena 16 s.) Hugh Trevor-Roper w recenzji o tej książce w „Sunday Times" podkreśla, że Himmler był czymś więcej niż zwykłym wykonawcą rozkazów tyrana. Był on jednym z „kapłanów" potwornej „religii" hitleryzmu.

FERDYNAND GOETEL

LISTY Z PODRÓŻY (II)

AMERYKANIE W NIEMCZECH

Mannheim, w marcu

Na rojnych ulicach niemieckich miast Amerykanów nie widać. Nie zauważa się ich w pociągach ni na dworcach, rzadko kiedy pojawi się który w popularnej kawiarni. Tylko szosami ciągną traki i samochody amerykańskie a na skrzyżowaniu dróg czają się samochody M.P., polujące zresztą jedynie na amerykańskich kierowców. Ci zaś jeżdżą ostrożnie i ustępują miejsca samochodom niemieckim, kierowanym niecierpliwą i agresywną ręką. „Te drogi są dla nas" — manifestuje kierowca niemiecki zajeżdżając drogę obcemu. Tylko na przedmieściach, o wieczornej godzinie podchmieleni żołnierze amerykańscy wałęsają się w towarzystwie hałaśliwych kobiet niemieckich. Czekoladowy żołnierz cieszy się szczególnymi względami Niemek. Powód jest raczej praktyczny. Murzyn jest hojny. Biały Amerykanin uważnie ogląda pieniądz, nim go wyda.

Oficerowie amerykańscy bawią się we własnych klubach. Jeśli w mieście upatrzą sobie jakiś nocny lokal, płacą haracz cen, którego długo nie wytrzymują. Do teatrów niemieckich ni na koncerty nie chodzą. Małżeństw z Niemkami jest niewiele. Żyją we własnym, zamkniętym kręgu i nie było chyba w historii świata okupacji bardziej dyskretnej i mniej dotkliwej, jak ta.

W biurach zaś i instytucjach amerykańskich pracują liczni Niemcy i osławione już sekretarki niemieckie. Problemat lojalności wobec pracodawcy, jak i wobec niemieckiej ojczyzny, rozwiązują na ogół szczęśliwie i bez konfliktów. Nie lubią tylko interesantów ze Wschodniej Europy. Rzecz zaczęła się już w UNRA, przeszła na IRO i trwa po dziś dzień.

Amerykanin jest zasadniczo człowiekiem ufnym i naiwnym. Także i ludzkim. Patrząc na ruiny niemieckich miast pragnie ulżyć doli tych, których amerykańskie bomby pozbawiły dachu nad głową i mienia. Niemców angażuje chętnie i wymaga od nich mniej, niż od swego rodaka. Nie znaczy to, aby po pewnym czasie nie dostrzegł, że z dwojga kontrahentów wyzyskiwanym i wyprowadzanym w pole jest on, zwycięzca i władca kraju.

Poprawne stosunki amerykańsko-niemieckie zaczynają się i kończą w strefie interesu. Są próby, aby je poszerzyć i pogłębić. I chociaż nie ma towarzystw przyjaźni na wzór sowiecki, to jednak szuka się sposobów istotniejszego zbliżenia. Inicjatywę daje Washington.

Są na terenie Niemiec Zachodnich liczne placówki „America House", instytucji zbliżonej do British Council, choć w działaniu bardziej od niej praktycznej. Okazałe gmachy i lokale America House świecą jednak pustkami. Od czasu do czasu jakiś burmistrz niemiecki czy wybitniejszy Amerykanin urządza spotkanie przedstawicieli obu narodów z lampką wina. Jest to coś w rodzaju angielskiej „party". Gdy jednak Anglicy rozmawiają o pogodzie lub o koronacji, Amerykanie gadają ze sobą o Ameryce, Niemcy o swoich sprawach i kłopotach.

Zapewne, istnieje jeszcze i wymiana studentów i sporo młodzieży niemieckiej wyjeżdża na studia za morze a sporo Amerykanów wypełnia ławy uniwersytetów niemieckich. Raz po raz przyjeżdża jakiś uczony amerykański na gościnne występy w salach odczytowych i uniwersyteckich. Jest to jednak robota na wyrost. Niedobór jest zbyt znaczny, aby go od ręki wyrównać. Sięga wstecz aż do chwili, gdy rządy w Niemczech objął Hitler. No, i te obustronne urazy. Amerykanie nie zapomnieli koncentraków, a Niemcy warczących nad ich głową bombowców.

A jednak Amerykanów w Niemczech widać. Im bardziej się ten kraj poznaje, tym bardziej Ameryka rzuca się w oczy. Przychodzi taka chwila, gdy dzieło jej po prostu osłupia.

Więc oto przemierzamy jakieś miasto Nadrenii. Poza jednym Heidelbergiem wszędzie dostrzegamy nieuprzątnięte jeszcze ruiny. Obok nich nowe bloki mieszkalne, całe rzędy bloków. Nieświadom rzeczy człowiek kładzie je wszystkie na karb pasji, z jaką Niemcy wzięli się za odbudowę zniszczeń. Wrażenie jest rzeczywiście wielkie i nie ma się co dziwić legendom o powojennej pracowitości Niemiec.

Po pewnym czasie zaczynamy jednak rozróżniać. Nie... nie wszystko jest tu wysiłkiem i dziełem niemieckim. Te oto zabudowania, to amerykańskie depot. Budynki z lewa, to koszary jego załogi. Z prawa domy mieszkalne dla rodzin stacjonowanych tu żołnierzy. I dalej... kolonia owa, to siedziba kompanii wartowniczych... tamta, mieszkania lotników... jeszcze inna żandarmerii, saperów, oddziałów pancernych. Ówdzie znów sztab, a tu i dom zbudowany przez Amerykanów dla uchodźców z Niemiec Wschodnich. Zaczynamy pojmować: obok niemieckiego powstał tu jakiś drugi, amerykański świat.

To, co w dużych miastach trzeba rozszyfrowywać, narzuca się z przemożną siłą w miejscowościach mniejszych, gdzie rozłożyły się wielkie obozy zaopatrujące armię amerykańską. Jeden z takich punktów odwiedziłem. Jest nim słynne Kaiserslautern.

— Widzi pan — objaśnia mnie oficer polskiego oddziału wartowniczego — półtora roku temu my, wartownicy polscy rozbiliśmy tu namioty, jako pierwsi pionierzy.

— Kiedy? — wołam. Pamiętam przecież kilkadziesiąt bloków mieszkalnych u wstępu do obozu. Siedzę zaś w ogromnej sali jadalnej wartowników, na oczach mam ich koszary.

— Półtora roku temu. Był tu tylko las i myśmy go karczowali, aby przebić drogę. Nie mieliśmy prądu ni nawet wody...

— A potem?

— Nadjechała pierwsza maszyna i jęła rozrywać las i równać pagóry. Za nią inne. Podciągnięto drogi z tej i tamtej strony. Założono lotnisko, aby lądować mogły transportowce. A potem wznoszono domy, składy, bunkry takie i siakie... Pan wie, oni dom składają jak zabawkę. I oto w niespełna dwa lata powstał największy magazyn zaopatrzeniowy świata. Samych domów mieszkalnych dla żołnierskich rodzin ma być 70. Kilkadziesiąt już stoi pod dachem. Reszta stanie w tym roku. Przypomina pan sobie spółdzielnię mieszkaniową warszawskiego Żoliborza, chlubę naszej przedsiębiorczości budowlanej?

— Tak, budowano te domy przez dziesiątek lat.

— Tu pięć takich Żoliborzów powstało w przeciągu roku. Spójrz pan na koszary wartowników. Na tym trawniku będzie latem wodotrysk, tam dalej kiosk dla naszej orkiestry. Głębiej zaś — ukazał przed siebie — ciągną się już całymi kilometrami składy pełne materiału. W dolarach to miliardy. Wszystkiego, mówię, dokonano w przeciągu półtora roku.

— Zaraz... zaraz...— usiłuję ogarnąć myślą to fantastyczne zdarzenie. — Dlaczegoż jednak nie słyszy się o tym? Pan wie, gdyby czegoś podobnego dokonali Rosjanie...

— Amerykanom nie zależy na rozgłosie. To, co się tu stało i co nas zdumiewa jest według nich oczywistością, naturalnym następstwem ich metod pracy i urządzania życia. Jest to świat bez samochwalstwa a równocześnie i bez sekretów.

— Do kogóż należy jednak ten teren, dziś eksterytorialny?

— Do samorządu miejscowego. Amerykanie przejęli go na czas swego pobytu w Niemczech. Karczując lasy budulec zachowują na swój użytek, odpadki oddają ludności. Zapłatą za dzierżawę będą kiedyś te budynki.

— To znaczy całe miasto.

— Tak! Całe nowe miasto z prądem, wodociągiem i kanalizacją. Prócz miasta zostaną i fortuny, które robią przedsiębiorcy niemieccy budując domy i drogi tutejsze.

— Słyszałem, że koszta okupacji pokrywa jednak niemiecki skarb.

— Nie wszystkie. Być może jednak, że za budowę tych miast zapłacą Niemcy. Gdy jednak pieniądz ten odbierają z powrotem ich przedsiębiorcy i robotnicy, gdy i fabryki niemieckie dostarczają tu materiału, podatek okupacyjny zostanie w Niemczech i miasta te będą prezentem. Prócz nich zostaną tu i dolary, wydawane w Niemczech przez żołnierzy amerykańskich. Pan słyszał o taksówkach eti?

— Nie.

— Więc eti, jest to skrót na eksport taxi. Są to taksówki dla żołnierzy amerykańskich, którzy żołd swój otrzymują w dolarach okupacyjnych czyli „scrips'ach". Eti stoją w pobliżu amerykańskich koszar i składów. Żołnierz, który chce się przejechać do miasta wzywa taksówkę telefonicznie i za kurs płaci kwitkiem na scripsy. Kierowca składa kwitek w biurze swego przedsiębiorstwa, otrzymuje równowartość w markach, poczem kwitki rejestruje Bank Rzeszy i obciąża Amerykanów odpowiadającą im sumą w dolarach. Drobna to niby rzecz, ale pozycja otrzymana w ten sposób w obcej walucie wynosi rocznie kilkanaście tysięcy dolarów i figuruje w budżecie Rzeszy.

W innym miejscu usłyszałem następującą historię od oficera wartowników.

— Wysłali nas do pewnej zakazanej dziury, upatrzonej na depot. Stanęliśmy tam zdziwieni i bezradni. Był to najgorszy wykrot, jaki sobie można wyobrazić. Ruiny z kamiennymi piwnicami, dziury, wzniesienia, drzewa. Ależ tu jest na pół roku roboty — mówię towarzyszącemu nam Amerykaninowi— poszukajcie czego innego! Następnego dnia przyjechał jakiś ich techniczny spec, rozejrzał się i pocieszył mnie. Przyślę tu taką maszynę, co to załatwi w pół dnia. Tak się też i stało. Nadjechał jakiś gmach z potwornymi motorami, przemłócił wszystko i wyrównał w pół dnia. To znaczy wyrównał idealnie i ubił. Pomyślałem sobie wtedy, że dziesięć takich maszyn oczyściłoby Warszawę z gruzów w przeciągu miesiąca. Pytam: co wobec tego znaczą zniszczenia? Co znaczy widmo ruin, nękające serca i dusze? Co, znaczą przeszkody dla budowniczego, który tu projektuje i wznosi swój nowy świat?

Tak... Pojąłem, na czym polega cud owych miast powstających z nicości. Amerykanin projektuje na stole rysowniczym, mając przed sobą tylko ogólny zarys przestrzeni oddanej mu do wypełnienia. Nierówności terenu nie grają roli, właściwości jego również. Domy mieszkalne muszą stać na miejscach widnych, mieszkania muszą być słoneczne... Ta jedna chyba tylko zasada przyświeca mu w pracy. W warunkach tych małych przestrzeni, rzecz jasna, nie uznaje. Parcela pod budowę musi być obszerna jak ów step Nowej Ziemi, gdzie pierwsi pionierzy amerykańscy wznosili swoje miasta.

W jednym z pomniejszych miasteczek Nadrenii ujrzałem taki obraz... Główna ulica osady, położonej wśród gór, pięła się w górę wzdłuż rzeki, zgodnie z odwiecznym prawidłem zakładania ludzkich osiedli. Domki otoczone ogródkami, co jeden to inny, starsze i nowsze opowiadały o spokojnym, miarowym narastaniu osiedla. W pewnym miejscu, gdy dolinę rzeczną przegrodziły jakieś skały trudne do usunięcia, uliczka skręciła w boczny wąwóz. I już nie pójdzie dalej, bo oto na szczycie pagórka, zamykającego wąwóz stanęły bloki amerykańskie , nasłonecznione, rozległe, zaopatrzone w wodę, podciągniętą z rzeki pompami.

Pomyślałem wówczas, że przedział pomiędzy tym starym światem, który tak mozolnie i tak długo dźwigał się ku górze a tym nowym, który przeskoczył przeszkody i czas i stanął od razu na jej szczycie jest ogromny, tak wielki, że nie ma możności powiązania jednego z drugim. Póki na górze siedzą przybysze z obcych stron, oba światy mogą żyć w sąsiedztwie. Gdy odejdą, miasteczko będzie musiało wybierać, czy pozostać w starych domach czy przenieść się do tych nowych. Sądzę, że wybierze to drugie. Jest to zresztą problemat nie tylko małego miasteczka w Palatynacie, ale i problemat całych Niemiec Zachodnich i całej Europy.

Ferdynand Goetel

NOWE KSIĄŻKI

»ZŁOTA NIĆ«

Nowa powieść pisarza angielskiego Louis de Wohl'a „Złota nić"*) wywołała ożywioną dyskusję na łamach angielskiej prasy katolickiej. Autor, mający już w swoim dorobku kilka poczytnych powieści historycznych, obrał jako główny temat swoich prac wielkie postacie Kościoła. Po powieściach poświęconych kolejno cesarzowej Helenie, świętemu Tomaszowi z Akwinu i świętemu Augustynowi, nowowydana książka wplotła w kanwę powieści postać świętego Ignacego Loyoli, wielkiego założyciela zakonu jezuitów.

„Złota nić" nie jest w ścisłym znaczeniu słowa powieścią biograficzną, jaką była powieść tegoż autora o św. Augustynie „Niespojny płomień", wydana w roku ubiegłym. Akcja jej przy tym nie pokrywa całego okresu życia głównej postaci utworu, jak to miało miejsce w „Spokojnym świetle", powieści o św. Tomaszu. Postać św. Ignacego Loyoli jest w „Złotej nici" potraktowana jedynie fragmentarycznie, w jednym tylko, najważniejszym wprawdzie, okresie jego życia.

Formalną treścią powieści są dzieje miłości najemnego żołnierza Szwajcara i młodej Hiszpanki, na malowniczym tle początku epoki Odrodzenia, utarczek francusko-hiszpańskich, pielgrzymek do Ziemi Świętej, zdobycia Rzymu przez cesarskie wojska i oblężenia Papieża Klemensa VII w zamku Świętego Anioła.

Niektórzy krytycy angielscy mają za złe de Wohlowi to fragmentaryczne potraktowanie postaci wielkiego świętego. Woleliby oni widzieć typową powieść biograficzną. Uważają, że de Wohl poświęcił świętemu Ignacemu zbyt mało miejsca, że fabularna akcja utworu odrywa uwagę czytelnika od głównej postaci i że idea przewodnia autora nie pokrywa się ściśle z myślą przewodnią świętego Ignacego Loyoli.

Trudno by mi się było zgodzić z takim podejściem i takim sposobem oceny, nie tylko „Złotej nici", ale wszelkich w ogóle powieści tego typu. Pomijając już formalne zagadnienie wolności artystycznej oraz fundamentalną różnicę między biografią a powieścią historyczną, uważam, że właśnie podejście Wohlowskie do wielkich postaci Kościoła jest nie tylko literacko poprawne, ale i bardzo szczęśliwe z punktu widzenia popularyzowania tych idej i przemyśleń, jakie były tak cennym wkładem tych właśnie postaci do dorobku myślowego Kościoła i ludzkości.

Bojowy zakon Kościoła, Towarzystwo Jezusowe, było od początku swego istnienia przedmiotem najsilniejszych ataków ze strony wszystkich wrogów Kościoła. Główną metodą tej walki było oszczerstwo. Metoda Leninowska: „Kłamcie, a zawsze coś z tego kłamstwa zostanie!" — była w stosunku do Towarzystwa Jezusowego stosowana z częściowym powodzeniem na parę wieków przed urodzeniem Lenina. Jedno z tych kłamstw, rozpowszechnione nawet wśród wielu katolików, przypisywało założycielowi tego zakonu zasadę „Cel uświęca środki". Oczywiście zapoznanie się z pismami św. Ignacego Loyoli byłoby wystarczające dla sprostowania tego fałszywego i oszczerczego sądu. Ale ci, którzy studiowali te pisma, w swej znakomitej większości nie potrzebowali już tego prostowania. A oszczercza plotka o jezuitach, mająca wszelkie cechy nowoczesnego propagandowego sloganu, pokutuje od kilku wieków nawet wśród społeczeństw katolickich.

W pismach swoich święty Ignacy Loyola pisał wyraźnie, że dla osiągnięcia celu należy zastosować właściwe środki, ale pisał również, że środki te winny być same w sobie dobre, w żadnym zaś wypadku — złe.

Powieść historyczna „Złota nić" ma poza swoją wartością artystyczną również wybitną wartość popularyzatorską, tak charakterystyczną dla twórczości de Wohla. Jest to niezaprzeczenie, co o niewielu tylko książkach można powiedzieć, powieść katolicka.

„Złota nić", nadająca tytuł powieści, jest nieprzerwaną nicią Opatrzności Bożej, kierującej losami ludzkimi, w sposób niedostrzegalny nieraz przez nas samych.

Tomasz Dobrowolski

*) **Louis de Wohl. THE GOLDEN THREAD. London, Victor Gollancz Ltd. 1953.**

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Na przymierze

Henryce i Władysławowi

Gdy poczyna się przymierze dwojga serc,
kiedy kwiatem pomarańczy wiatr nawiał,
już przesila się noc,
w mroku cofa się śmierć,
wieczne życie swe gody odprawia.

Wnet jaskółki w szybkim locie się roztkliwią,
gwiazdy zlecą do maneli i zausznic.
Nawet tygrys i wilk, nawet burza i żywioł
u stóp ludzkich siadają posłusznie.

Boć z żywiołów najsroższych i burz
można mocne płótno szczęścia utkać...
A więc z wróżb, z czułych drużb
i z powszednich serca służb
niech wywija się melodia cichutka.

Niech jak liście zielone
wszystkie dni się unerwią
ku dojrzałej, ku letniej pogodzie;
niech płomieniem wesołym
u dębowych bierwion
silna radość ogrzewa na codzień.

Komu dni przeleciały z niepowrotnym tętentem,
kto w rozpaczy grzesznej się zaciął,
temu serce dziś ograć,
ograć serce ziębnięte,
ograć serce
przy szczęściu przyjaciół.

Burza nad Toledo

Chmury świetlistą obrzeżone kredą
i niewidzialnych pożoga błyskawic.
Gdy niebo świeci, ruda ziemia krwawi
i w krwi krzepnącej zbroczone Toledo
wszczepia pazury w skalistego trupa.

Zanim ten kamień, potarganym łachom
podobny, krzyżem z pagóra nie upadł
i rozerwanej blizny wezbranego Tajo
popiołem nie przywalił... Zanim wąskie gardło
wąwozu jeszcze broni się mostu puklerzem,
wstrzymaj tę burzę. To miasto umarło,
lecz martwe
trwa w swojej wierze.

Głaz, a nad głazem chmur skłębione wiry —
dnem odwrócona a bezdenna topiel.
Domy — szyldwachy na starym okopie —
czuwają, pląrząc się w skwarny labirynt,
aż z dachów, blanków, wykuszy, jak dziryt
z rąk podniesionych... Jak skrzepły w kamieniu
jarzący płomień. Jak anielski szczerbiec.

Jakub drabinę na te skały przeniósł
ze snu. Więc stoi.
I krzyż ma w swym herbie.

To nasze zwłoki na wzniesionych marach
cierpną pod burzą. A tobie nie skąpić
kadzidła modlitw. Niech się ta ofiara
doczeka w ciszy chwili wniebowstąpień,
byśmy, gdy chmury głębiej się rozewrą
i ogień zstąpi ku cielesnym schedom,
iść mogli za nim, jak głaz za katedrą,
jak głucha skała za bożem Toledo.

Rzeka zarasta mrokiem jak liszajem,
owce na zboczach pod wiatrem się pasą;
wyzywające się na rękę wzajem,
miasto i burza stanęły sam na sam.
I biją gromy. Lecz w obliczu potęg
depczących truchło ziemi, gdy pod ciężkim grzmotem
domy — łazarze, ospą podziobane,
już osypują się zrudziałą ochrą...

Wieża, świadcząca się twardo przed Panem,
w wichrze i burzy
trwa jak piorunochron.

Józef Łobodowski

ZAPISKI LONDYŃSKIE

ZGON WIELKIEGO PRZYJACIELA POLSKI

W Edynburgu zmarł w wieku lat 82 jeden z najstarszych przyjaciół Polski na terenie Wielkiej Brytanii, profesor Charles Sarolea. Urodzony w r. 1870 w Tongres w Belgii, poświęcił się studiom filozoficznym i historycznym i już w r. 1894 objął stanowisko pierwszego wykładowcy i kierownika Studium Francuskiego i Romanistycznego na uniwersytecie w Edynburgu. Funkcje te sprawował przez 37 lat, do r. 1931. Był poza tym konsulem generalnym belgijskim w stolicy Szkocji i rozwijał ożywioną działalność w wielu innych dziedzinach. W czasie pierwszej wojny światowej zorganizował akcję pomocy dla ofiar wojny w Belgii, która przyniosła ponad 100.000 funtów; przemawiał wówczas na wielu zebraniach w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych. Był naczelnym redaktorem znanego wydawnictwa „Collection Nelson" w Edynburgu.

Oddał znaczne usługi sprawie polskiej pod koniec pierwszej wojny światowej i po jej zakończeniu. W r. 1922 ogłosił swe „Letters on Polish Affairs", tchnące gorącą sympatią dla Polski; do książki tej piękną przedmowę napisał G. K. Chesterton. W tymże roku wydał w języku francuskim rozprawę „L'Occupation allemande en Pologne". W uznaniu swych zasług odznaczony został w tym okresie krzyżem komandorskim orderu „Polonia Restituta".

O ile w pierwszym okresie jego działalności pisarskiej przeważały książki treści filozoficznej, religijnej i literackiej („H. Ibsen", „La Liberté et le Déterminisme", „Cardinal Newman and His Influence on Religious Thought"), o tyle potem, zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej, poświęcił się głównie opracowaniom politycznym i historycznym (ostatnie p. t. „Daylight on Spain" ukazało się w r. 1938).

Znany był jako twórca i posiadacz największej z bibliotek prywatnych w Wielkiej Brytanii i prawdopodobnie jednej z największych na świecie, bo liczącej ponad 200.000 tomów. Biblioteka ta obejmuje przeważnie książki nie w języku angielskim, ale w językach innych. Posiada również, lub w każdym razie posiadała, wielką liczbę książek polskich i dotyczących Polski. W czasie wojny Sarolea uprzystępnił korzystanie z nich żołnierzom polskim, stacjonowanym w Szkocji.

Na wiadomość o zgonie prof. Sarolea wydział wykonawczy Rady Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu wystosował do konsulatu belgijskiego pismo z wyrazami gorącego współczucia. Przedstawiciele organizacji polskich wzięli udział w uroczystościach pogrzebowych, które odbyły się po nabożeństwie żałobnym w St. Mary's Church.

NIEPOWODZENIE WYSTAWY

Odbywająca się w Tate Gallery wystawa modeli pomnika Nieznanego Więźnia Politycznego nie wzbudziła niemal żadnego zainteresowania wśród publiczności. Pewną reklamę, ale w znaczeniu zgoła nie pozytywnym, zrobił jej dopiero „zamach" emigranta węgierskiego Laszlo Szilvassy'ego, 28-letniego artysty; przyszedłszy na wystawę wieczorem, zniszczył on model rzeźbiarza brytyjskiego Butlera, który uzyskał pierwszą nagrodę w wysokości £ 4.525. Szilvassy został osadzony w areszcie zapobiegawczym.

Sprawę wystawy i samego konkursu omawia w artykule wstępnym „Observer" z dnia 22 marca. Pismo uważa samą ideę konkursu na rzeźbę o charakterze politycznym za błąd.

„Domagać się od rzeźby — pisze „Observer" — jednej z najbardziej formalnych i najmniej „narratywnych" sztuk, by przedstawiła tak ściśle określony i pełen znaczenia temat, jak więzienie polityczne — było równoznaczne z domaganiem się, by rzeźba funkcjonowała tak, jakbyśmy posiadali całkiem zwartą i integralną kulturę".

Z drugiej strony pismo podkreśla, że wystawa modeli, wykonanych przez rzeźbiarzy z przeszło 50 krajów, wykazała zdumiewającą jednolitość stylu, panującego dziś w rzeźbie całego świata, poza oczywiście krajami bloku sowieckiego, w którym dominuje nakazany z góry „soc-realizm" i które zresztą w konkursie udziału nie brały. „Observer" notuje też, że dawna wrogość wobec sztuki nowoczesnej ustąpiła obecnie wśród publiczności uczuciu apatii. W przeciwieństwie do tego stoi zainteresowanie, jakie wzbudziła odbywająca się również w Tate Gallery wystawa dawnej sztuki meksykańskiej.

W MUZEACH LONDYŃSKICH

Jak podaje prasa, istnieją uzasadnione nadzieje, że niedługo otwarte będzie znowu Public Record Office Museum, które zamknięte zostało w roku ubiegłym ze względów oszczędnościowych. Jest to Muzeum Archiwum Państwowego, w którym wystawione są najbardziej interesujące stare akta i dokumenty.

Natomiast nie ma nadziei na to, by znalazły się fundusze na przedłużenie czasu funkcjonowania czytelni British Museum (która obecnie zamykana jest o 4.45) — do godziny 6.00, jak to bywało dawniej. Z różnych stron od dawna już wysuwano żądania, by przedłużenie takie nastąpiło, ale finanse muzeum na to nie pozwalają.

Z WYSTAW LONDYŃSKICH

W związku z rokiem koronacyjnym odbywa się obecnie w Royal Academy wcale ciekawa wystawa portretów i innych podobizn (rzeźby, wizerunki na monetach i pieczęciach) królów i królowych Anglii. Wśród artystów reprezentowani są między innymi Van Dyck i Holbein.

Wystawa, obrazująca wpływ Rembrandta na sztukę XVII wieku, odbywa się w Matthiesen Gallery (142, New Bond Street, W. 1) i trwać będzie do 2 kwietnia r.b. Wstęp 2/6; dochód przeznaczony jest na powodzian w Holandii.

Royal Institute of Painters in Water Colours (Królewski Instytut Malarzy Akwarel) otworzył swą 141 z rzędu wystawę we własnym gmachu (195, Piccadilly). Wstęp 1/-.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

WIELKANOC, 5 kwietnia 1953 r.

Wesołego Alleluja!

WŁADZOM RZECZYPOSPOLITEJ, J. E. PROTEKTOROWI UCHODŹSTWA, KS. ARCYBISKUPOWI JÓZEFOWI GAWLINIE, PRZEWIELEBNEMU DUCHOWIEŃSTWU, NASZYM PRZYJACIOŁOM I CZYTELNIKOM ORAZ BRACIOM POLAKOM W CHRYSTUSIE SKŁADAMY SERDECZNE ŻYCZENIA „WESOŁEGO ALLELUJA!"

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „V E R I T A S" I REDAKCJA „ŻYCIA"

SZEŚĆ LAT — 300 NUMERÓW

Przed dwoma tygodniami, to jest dnia 22 marca 1953, numer ŻYCIA oznaczony był cyfrą 300; tyle się od powstania pisma pojawiło numerów ŻYCIA. W maju bieżącego roku minie sześć lat od powstania naszego pisma.

Z okazji obu tych, w dziejach czasopiśmiennictwa emigracyjnego poważnych, dat chcielibyśmy przedstawić Czytelnikom niektóre nasze zamiary na przyszłość i zwrócić się do nich z gorącą prośbą, aby przyczyniali się nadal do utrwalania pozycji pisma w społeczeństwie emigracyjnym i do powiększenia jego zasięgu, co wydaje się nieodzowne dla dalszego istnienia jedynego tygodnika katolickich intelektualistów poza Krajem.

Zmiany, którym dość często w ciągu sześcioletniego istnienia podlegało ŻYCIE, pochodziły przeważnie z chęci zaspokojenia społecznych potrzeb czytelniczych. Wydawcy i redakcja pisma, zarówno w przeszłości, jak dziś, znakomicie zdawali sobie sprawę z niedoskonałości i licznych braków ŻYCIA; wszak jesteśmy pismem katolickim. Toteż i obecnie stoimy przed nową próbą udoskonalenia i ożywienia tygodnika.

Idąc po linii życzeń naszych Czytelników i Przyjaciół, ŻYCIE położy w nadchodzącym okresie szczególny nacisk na publicystykę. Wybitni pisarze emigracyjni oraz stali współpracownicy ŻYCIA oświetlać będą główne problemy naszych czasów, ze szczególnym uwzględnieniem spraw polskich.

Publicystyka ŻYCIA opierać się będzie, rzecz oczywista, na katolickim poglądzie na świat i punktem jej wyjścia będzie zawsze katolicka doktryna.

Już od kilku tygodni na pierwszej stronie ŻYCIA wprowadzony został nowy stały felieton p.t.:

SED CONTRA

pióra jednego z najwybitniejszych polskich myślicieli współczesnych, chluby nauki polskiej, profesora uniwersytetu we Fryburgu i autorytetu światowego w zakresie filozofii tomistycznej, Ojca I.M. BOCHEŃSKIEGO, O.P.

Felietony pióra O. Bocheńskiego przeznaczone są dla ludzi myślących; ich świadomie zamierzony ostry kontur polemiczny i kontrowersyjne tematy mają służyć oświetleniu istoty naszych czasów ze wszystkich stron, nie pozwalając na spokojną wegetację ducha w czasach gwałtownych przemian.

Rozważaniom religijnym i publicystyce katolickiej w najściślejszym znaczeniu tego słowa będą poświęcone artykuły znanej pisarki MARII WINOWSKIEJ. W ostatnich latach Maria Winowska „zaniedbała" nieco katolicką prasę polską, zdobywając liczne laury jako pisarka katolicka francuska. Ogłosiła ona kilka książek w języku francuskim (M.in. „C'est l'heure des saints"), a jej dzieło o Ojcu Maksymilianie Marii Kolbe, którego proces beatyfikacyjny toczy się przed Kongregacją Obrzędów, cieszy się niezwykłym powodzeniem w przekładach na główne języki światowe. (Książka ta, nawiasem mówiąc, ukaże się w edycji polskiej nakładem Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas" jesienią roku bież.) W roku ubiegłym Maria Winowska otrzymała za swoje prace nagrodę Akademii Francuskiej.

Na łamach ŻYCIA pojawiać się będą stałe artykuły JÓZEFA KISIELEWSKIEGO, omawiające bieżące zagadnienia społeczne i polityczne. Oprócz artykułów, których temat narzuci bieżąca aktualność, pojawi się niebawem na łamach pisma cykl reportaży Józefa Kisielewskiego p. t.:

NA DROGACH EUROPY.

Będą to wrażenia i obserwacje z podróży po Europie zachodniej, w szczególności po Francji i Niemczech.

W dalszym ciągu na ostatniej stronie pojawiać się będą stałe felietony JANA BIELATOWICZA p.t.

PO ŁEPKACH.

Poczynając od 1 maja b.r. każdy pierwszy numer w miesiącu ukazywać się będzie w objętości 6 stron. Dodatkowe dwie strony w tych numerach przeznaczone będą w całości na omówienie bieżących wydarzeń i zagadnień w Kraju. Redakcja ŻYCIA, zdając sobie doskonale sprawę z wielkiej wagi tych tematów, będzie usiłowała zaspokoić potrzeby Czytelników emigracyjnych opracowaniami syntetycznymi zagadnień krajowych, autorstwa pisarzy szczególnie przygotowanych do tego przedmiotu. Od razu zapowiadamy, iż celem stałego działu krajowego ŻYCIA nie będą zadania propagandowe, lecz troska o rzetelny obraz stosunków w okupowanej Polsce.

Po raz pierwszy dział ten pojawi się w ŻYCIU na dzień 3 maja pod tytułem:

ŻYCIE KRAJU

i zawierał będzie m.in. pierwszą część pracy MARII DANILEWICZOWEJ o wydawnictwach z historii i teorii literatury oraz językoznawstwa w Polsce dzisiejszej. Praca Marii Danilewiczowej będzie kontynuowana jako systematyczna rejestracja i ocena dorobku nauki polskiej w dziedzinie historii literatury i językoznawstwa oraz jako krytyczna ocena materialistycznych tendencji w filologii polskiej.

W numerze trzeciomajowym ukaże się również opracowanie Jana Bielatowicza p.t. „Straty kultury polskiej w roku 1952".

Dalsze stałe działy ŻYCIA, to: ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO, Z KOŚCIOŁA MILCZENIA, KRONIKA RZYMSKA, WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM, ZAPISKI LONDYŃSKIE, NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE, NOWE KSIĄŻKI, NOWE FILMY, WIECZORY TEATRALNE, WYSTAWY LONDYŃSKIE. Od połowy kwietnia b.r. wprowadzony zostanie stały dział recenzji muzycznych. Ze zwiększoną troską przystąpi redakcja do omawiania współczesnych prądów umysłowych w świecie zachodnim. Sprawom tym, z naciskiem na zdobycze filozofii tomistycznej, katolickiej nauki społecznej i piśmiennictwo katolickie, poświęcone będą m.in. korespondencje z ważniejszych stolic myśli współczesnej.

Numery „specjalne" ŻYCIA posiadają swoją dobrą tradycję. W roku bieżącym wydamy specjalny, powiększony numer ŻYCIA, poświęcony

P R O B L E M O M E G Z Y S T E N C J A L I Z M U.

Główny ciężar tego numeru oprze się na piórze O.I.M. Bocheńskiego, O.P.

Dalsze numery specjalne poświęcone będą Kościołowi Wojującemu i katolicyzmowi współczesnemu w krajach Europy. W przygotowaniu znajduje się już

N U M E R I R L A N D Z K I,

który się ukaże przypuszczalnie w trzecim tygodniu czerwca b.r.

Inny numer specjalny poświęcony będzie

POLSKIM KANDYDATOM NA OŁTARZE.

W dalszych numerach ŻYCIA ukażą się m.in. następujące prace: MARII BELINY: Dwudzieste stulecie a kobieta, O.I.M. BOCHEŃSKIEGO, O.P.: Bałwochwalstwo; Demokracja międzynarodowa; Egzystencjalizm; Jean Paul Sartre, ZOFII BOHDANOWICZOWEJ: Czwarta straż nocna (sceny dramatyczne); Słowiki litewskie, GERARDA BROMA: Mickiewicz i Lamennais, KS. WŁODZIMIERZA CIEŃSKIEGO: Brewiarz, Józefa FRANKIEWICZA: Miasto wzruszeń i niespodzianek, FERDYNANDA GOETLA: Listy z podróży, T.S. ELIOTA: Środa Popielcowa (w przekładzie JERZEGO NIEMOJOWSKIEGO), JAKUBA HOFFMANA: Wyznania na Wołyniu w odrodzonej Polsce, ROMANA JASIEŃCZYKA: Sztuka na bezdrożach, KS. W.J. JASIŃSKIEGO: Polonia detroicka a teologia ludzi świeckich, MARII KASTERSKIEJ: Ostatnia powieść Mauriaca, KS. KAMILA KANTAKA: W bramie wieczności, TADEUSZA KOŁDYCZA: Polska szkoła dla emigracji, J.R. LAMBORA: Róże, wino i słowiki (o rubajatach), MIECZYSŁAWA LURCZYŃSKIEGO: Śmierć literatury; Romans warszawski; Przekłady z poezji hiszpańskiej, KS. J.T. MILIKA: Manuskrypty w grocie Pustyni Judzkiej, HERMINII NAGLEROWEJ: Stacja Abbesses, S. NIEKRASZOWEJ: Adolf Chybiński, BOHDANA NIEMCZYKA: Ruch wydawniczy w czasach Wielkiej Emigracji, FR. OLIPRY: Władysław Konopczyński w Szwecji, BEATY OBERTYŃSKIEJ: Ziarnka piasku, MARII PETRY: Okolica poetów, B. KLEC PILECKIEGO: Problem góralszczyzny, WIESŁAWA PISARCZYKA: Lament utrapionej Brytanii, JÓZEFA PŁOSKIEGO: Biskup Nowowiejski, BRONISŁAWA PRZYŁUSKIEGO: Rubayaty Omar Khayama, WITOLDA RAJKOWSKIEGO: Poezja arabska, DANIELA ROPSA: Gdy jeden świat się wali (tłum. Marii Petry), KS. WŁ. RUBINA: Osiemsetlecie Dekretu Gracjana, TERESY SKÓRZEWSKIEJ: Bajki Andersena (z projektami ilustracji dziecięcych), TADEUSZA STARKA: Aktualność nauk Biskupa Genewskiego; Słowacki w Genewie, FRANCISZKA STRZAŁKI: Segovia, FLORIANA ŚMIEJI: Roy Campbell, WOJCIECHA WASIUTYŃSKIEGO: Pielgrzym i ignorant, JANINY WĘGRZYŃSKIEJ KOŚCIAŁKOWSKIEJ: Pasja z Cergowej Góry, ŁUKASZA WINIARSKIEGO: Spotkanie z poezją szwedzką, MARII WINOWSKIEJ: Tajemnica Bytu; Gabriel Marcel, KS. M. WOJCIECHOWSKIEGO: Męczeństwo sióstr nazaretanek w Nowogródku; Wniebowzięcie w ruchach heterodoksyjnych, Ks. Prałat Konstanty Budkiewicz.

Jak z powyższych zapowiedzi wynika, ŻYCIE poświęca i zamierza nadal poświęcać wiele uwagi sprawom literackim i sztuce. W dalszych numerach pojawią się liczne reprodukcje z teki plastyków polskich tworzących na obczyźnie.

* * *

Niezależnie od planów redakcyjnych wydawnictwo wprowadziło również pewne udoskonalenia techniczne.

Od kilku tygodni wprowadziliśmy nową czcionkę, którą składane jest obecnie ŻYCIE. Niektóre artykuły oraz utwory poetyckie składane są czcionką 10-punktową, ogromna jednak większość materiału składana jest teraz czcionką 7-punktową zamiast dawnej 8-punktowej, co sprawia, że na 4 stronach ŻYCIA mieści się obecnie o 20 procent materiału więcej, niż poprzednio. Mimo to cena pisma pozostała niezmieniona.

Usunęliśmy z ŻYCIA całkowicie czcionkę 6-punktową (t.zw. nonparel), trudną do czytania i mającą inne jeszcze mankamenty techniczne.

Za punkt honoru postawiliśmy sobie ponadto usunięcie wszelkich niedomagań technicznych, które w naszych warunkach pracy, we własnej drukarni, niekiedy bywają niezmiernie trudne do zlikwidowania. Z przyjemnością możemy zakomunikować Czytelnikom, że nie ma już obecnie skarg na wadliwą korektę.

Jeszcze jednym udogodnieniem, podrażającym nasze koszty, ale przynoszącym korzyść naszym Prenumeratorom, jest wprowadzenie kopert, w których od następnego numeru Prenumeratorzy będą otrzymywać ŻYCIE. Dotychczasowy system opakowania prowadził do mięcia i brudzenia pisma, co obecnie zostanie usunięte ku niewątpliwemu zadowoleniu kolekcjonerów naszego tygodnika.

ŻYCIE jest obecnie

NAJTAŃSZYM TYGODNIKIEM

kulturalnym na emigracji.

Numer pojedyńczy kosztuje 1 szylinga.

Numery z dodatkiem „ŻYCIE KRAJU" (6-stronicowe) oraz numery specjalne powiększone kosztować będą 1/6.

Numery 8-stronicowe będą kosztować 2 szylingi, numery 10-stronicowe (jak obecny) 2/6.

Ta różnica w cenach poszczególnych numerów dotyczy jedynie Czytelników, którzy nabywają pojedyncze numery u Kolporterów, nie dotyczy natomiast stałych Prenumeratorów. Płacą oni wraz z opakowaniem i kosztami przesyłki stałą cenę — 1 szylinga za każdy numer ŻYCIA, czyli:

4/6 miesięcznie, 13 sh. kwartalnie i 26 sh. półrocznie.

ŻYCIE posiada poważne problemy wydawnicze. Wrócimy do nich, apelując o pomoc do naszych Przyjaciół. Dziś poprzestajemy na zapowiedzi naszych najbliższych zamiarów redakcyjnych.

REDAKCJA

P.s. Następny numer ŻYCIA ukaże się dnia 19 kwietnia.

Prasa polska i obca o numerze „Życia" poświęconym ś.p. prof. Wł. Konopczyńskiemu

Numer 49 (285) ŻYCIA z 7 grudnia 1952, poświęcony pamięci Prof. Władysława Konopczyńskiego, został nadzwyczaj przychylnie przyjęty przez historyków polskich i obcych oraz przez prasę polską na emigracji i obce periodyki historyczne.

Prof. Sorbony, Jean Fabre w liście do redakcji ŻYCIA pisze m.in.: „...Otrzymałem piękny numer ŻYCIA, prawdziwie godny („si parfaitement digne") pamięci wielkiego historyka... Zapewniam Pana, że Prof. Konopczyński posiada na uniwersytetach francuskich tylko przyjaciół i wielbicieli i że wszyscy oni nie wnet o nim zapomną".

Prof. S. Harrison Thomson (redaktor naczelny „The Journal of Central European Affairs", Boulder, Colorado) pisze o numerze ŻYCIA: „This is a grand tribute to a great man".

Prof. Borsczak, wydawca „Ukrainy" w Paryżu pisze w liście do Gen. Mariana Kukiela, iż jest zachwycony materiałem, jaki znalazł w ŻYCIU.

Obaj wyżej wymienieni uczeni zamieścili w swoich pismach wspomnienia pośmiertne o Prof. Konopczyńskim, oparte w znacznej mierze na materiale zaczerpniętym z numeru specjalnego ŻYCIA.

Prasa polska poświęciła numerowi ŻYCIA sporo przychylnych ocen. M.in. wzmiankę poświęciły mu „Wiadomości". „Głos Polski" z Buenos Aires w numerze z dnia 20.2.1953 omawia ŻYCIE poświęcone Prof. Konopczyńskiemu w pięknym i entuzjastycznym artykule Józefy Radzymińskiej p.t. „Przykazanie dla emigracji".

PODZIĘKOWANIE

J. E. Ks. Arcybiskup Józef Gawlina dziękuje serdecznie za łaskawe życzenia imieninowe i przesyła niniejszym czterdzieści dolarów na polską prasę katolicką.

Rzym, 23. 3. 1953.

O R Z E Ł E K

(Dokończenie ze str. 4)

Pana, miał niewątpliwie wyczucie przyszłych, dość odległych wydarzeń, bo rzeczywiście zginął, o mały włos nie pociągając Pana ze sobą. — Pan pamięta, najpierw Monte Cassino, a potem Chienti..."

„Pamiętam. To wszystko pachnie zabobonem żołnierskim. Muszę i ja Panu coś wyznać. Ten Orzeł w ogóle nie przyjechał ze mną z Polski. Kupiłem go w kramiku żydowskim pod Haifą, zaraz po wylądowaniu w Palestynie. Sprzedawca przekonał mnie, że zapas towaru orlego kupił od jakiegoś emigranta żydowskiego, który krótko przed wojną przywiózł resztki swego sklepu wprost z Polski. Przekonywał mnie dość osobliwie: „Na orły polskie jest teraz duży popyt, ma Pan do wyboru, taki szmatławy, żydowski, zrobiony w Palestynie kosztuje tylko 3 piastry a ten, z Polski, prawdziwy „cymes", kosztuje 13." Odżałowałem 13 piastrów. Nie kłamałem, gdy na pytania kolegów, skąd „wytrzasnąłem" tego wspaniałego Orła, odpowiadałem krótko: „z Polski". Czy musiałem dodawać, że to nie ja, lecz jakiś nieznany mi kupiec żydowski przywiózł go, uwięzionego w pudełku, z inną galanterią? Dziś wszystkim się handluje, nawet Orłami polskimi i to nie tylko tymi z miedzi" — dokończyłem smutnie.

„Trafił Pan w sedno — nieomal wykrzyknął plutonowy Łukasik. — Dlatego też wracam do Kraju."

„Tylko widzi Pan, Panie Łukasik — ciągnąłem — są jednak rzeczy, których nie można kupić, chyba, chyba że za cenę ciepłej krwi ludzkiej i kawałek ludzkiego mózgu, którym chlapnie Panu w twarz ginący na Polu Chwały cichy bohater."

Konstanty Bączkowski

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 12 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal albo Money orderam względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 1, w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowski, 101, Auguste Lambiotte, Bruxelles 3. FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo: „Libella" Libraire, 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 260 DM. Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", 22) Quakenbrück, Shiphhorst 2 i St. Mikiciuk, (13 B) München 54. Seehamerstr 4. Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse Case Postale 19, Fribourg 3. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 6c Lund Sverige, Sweden. — U.S.A.: kwartalnie pocztą zwykłą 2 $, pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Mrs. J. Stojanowska, 83. East 22-nd Street Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager st. Utica, 3) Bagiński, 5050, Cass Avenue, Detroit 2, Michigan, U.S.A.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel.: PAD 9734